

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie (52 tomy) rs. 10	}	Rocznie (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.		

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	rs. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . .	„ 8 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	„ „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCZA

Franc. Jul. Granowski.



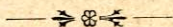
Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1870
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 173.

PISMA O. LUDWIKA COLOMY.



Tumany i katuże.



NOWELE I OPOWIADANIA

przekład z hiszpańskiego przez **H. J.**

z przedmową

H A J O T Y.

——
TOM II.
——

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

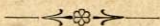
47. Nowy-Świat 47.

—
1901.

Tumany i kałuże.

Pisma O. Ludwika Colomy.

Tumany i kałuże.





NOWELE I OPOWIADANIA

przekład z hiszpańskiego przez H. J.

z przedmową

H a j o t y

——
Tom II.
——

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Февраля 1901 г.



K-167/79/106209

I.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem Manola H*, byłem jeszcze dzieckiem: miałem dwanaście lat i gościłem w domu rodziców Fernanda S***, najmilszego mi z moich kolegów szkolnych.

Fernando miał starszego brata, wielkiego przyjaciela Manola, i ten zawiózł nas raz do jego wspólnego pałacu, abyśmy obejrzeliby przepysznego lwa z Sahary, który się tam znajdował, zamknięty w okratowanej, naturalnej grocie parkowej.

Gdyśmy zajechali przed uroczą esplanadę pałacu, ujrzelśmy kilka powozów, a pomiędzy nimi zwrócił moją uwagę prześliczny *koszyk* zaprzężony w cztery kare kuce w błękitnych ze srebrem szorach.

— Ach! jest Currito Pencas! — wykrzyknął Fernando, klaszcząc w dłonie z radości i jednym susem wyskakując z powozu.

Zapytałem go, kto by to był ów Currito Pencas, a on odpowiedział mi, że jest to sławny *torrero*, wielki przyjaciel jego brata i Manola, i przywódca klubu Torreadzistów, którego obaj byli członkami.

— A dzisiaj jadą do la Picota wybierać tam byki na czwartkową walkę — ciągnął dalej Fernando jednym tchem. — Mój brat występuje jako matador,

a Manolo jako banderillos. Ja jeszcze nie mogę w tem brać udziału, bo jestem mały, ale gdy dorosnę, będę także banderillosem. A ty, chcesz także być torrerem?

— Nie! — odrzekłem — ja chcę być marynarzem.

— Toś głupi! — wykrzyknął — czy myślisz, że będziesz miał wtedy takie konie i powozy, jak Currito Pencas?

Nie odpowiedziałem mu nic na to, i obaj poszliśmy za bratem Fernanda, który, minawszy kilka przedsióneków, kurytarzy i salę bilardową, zaprowadził nas do komnaty, gdzie się znajdował Manolo. Była ona obszerna, kwadratowa, cała wybita bogatą, kordubańską skórą, ujętą w misterne dębowe lampery; w czterech narożnikach mieściły się cztery pełne zbroje: jedna arabska, z hełmem owiniętym w biały turban, druga medyolańska, bogato cyzelowana, i dwie kolczugi z XIII wieku. Na ścianach wisiała różna broń także starożytna, a nad wielkimi podwojami, któremi wchodziło się do komnaty, mieściły się dwa portrety: jeden mężczyzny z oznaką wielkiego krzyża Calatrovy na szyi, a drugi kobiety w wieku dojrzałym, i w surowym, biało-czarnym stroju Serbów z XVII wieku. U stóp tej damy znajdowała się szkatułka z klejnotami, a na niej napis, opiewający, jako klejnoty te ofiarowane były przez nią na ufundowanie szpitala w 1630 roku. Umeblowanie składało się z olbrzymiego dębowego stołu na rzeźbionych bogato nogach i takich samych krzesel, oraz dwóch ogromnych szaf z XVI wieku, rzeźbionych i inkrustowanych precudownie, z umieszczonemi w naczółkach herbowemi tarczami domu Manolich.

Ale na tem tle surowej i staroświeckiej wspaniałości, Manolo, złoty młodzieniec naszej epoki, nagromadził wszystko, co tylko kaprysy mody i dziwactwa przelotnych upodobań zgromadzić mogą. Wi-

działo się więc rozrzucone wszędzie w nieładzie niby artystycznym brązy, porcelany, broni, przybory do polowania, florety, fajki wszelkiego rodzaju, szpicruty, instrumenty muzyczne, akwarelle, fotografie sławnych śpiewaczek i skandalicznych piękności. Na jednej ścianie, jako rodzaj osobliwszego *trofeum*, wisiało kilka szpad takich, jakimi posługują się matadorowie, kilka wspaniale przystrojonych banderilli, a pośrodku wypchana głowa byka ze złoconemi rogami. Na medyolańskiej zbroi wisiał szkarłatny, ałtasowy płaszcz torrera; z pod przyłbicy wyglądało kosztowne hawańskie cygaro, a za podporę służyła jej pałka do zabijania bydła, którą Manolo kazał być zrobić z drzewca włośzni jednego ze swoich przodków, poległego w wojnie z Maurami.

U stóp damy z XVII wieku wisiał portrecik baletniczki francuskiej, zwanej przez swych wielbicieli *córą powietrza*, a poniżej, oprawny w bogate złocone ramy i otoczony laurowym wieńcem, błyszczał biały, ałtasowy trzewiczek, relikwie tejże znakomitości choreograficznej, którą Manolo, w dwudziestym drugim roku życia, nazywał swem ostatniem ziemskiem złudzeniem.

Jeden jeszcze szczegół zwrócił moją dziecięcą uwagę: oto na jednej z tarcz herbowych, zdobiących owe szafy, na tarczy, którą Izabela katolicka uświetniła hrabiowską koroną, tkwiła filcowa czapeczka torrera.

Nie wiem, czy to było dzieło przypadku, czy pustoty, ale to pewna, że biedny Manolo nigdy przedtem, ani potem nie dodał żadnej innej odznaki do rodowych pieczęci swego domu, prócz owej czapeczki, będącej, jak dotychczas, nieznanym w heraldyce symbolem.

W chwili, gdyśmy weszli do komnaty, Currito Pencas, siedząc jak na koniu na przeslicznem krześle

w stylu Ludwika XV, które jakoby kiedyś zdołało jadalnię hrabiny Dubarry i które Manolo kupił w Londynie za bajeczną sumę, Currito, mówię, opowiadał otaczającemu go towarzystwu swą podróż do Paryża, na walkę byków i swoją *przeprawę*, jak się wyrażał, z panującym podówczas Napoleonem III.

Był to mężczyzna czterdziestoletni, wspaniale zbudowany; rysy jego miały tę pospolitą regularność, charakteryzującą piękne typy ludowe; lecz trzeba przyznać, że cała jego postać tchnęła jakimś wdziękiem i rycerskością, niepozabawioną godności, co na pierwszego rzutu oka czyniło go sympatycznym. Miał na sobie ciemno-fioletową, aksamitną kurtkę, otwierającą się na bogato haftowanej koszuli, zapiętej na ogromne brylantowe szpilki; jedwabny, jaskrawy pas, zakończony ciężką złotą frendzlą, okalał jego biodra.

Manolo siedział na dębowym stole, po prawej ręce Currita, a dokoła nich stało i siedziało kilkunastu innych młodzieńców, wszystko śmietanka dworskich salonów, a jednocześnie chluba klubu torreadzistów.

— No cóż, Currito, cóż dalej? — wykrzyknął Manolo, zachęcając go do podjęcia opowiadania, przewanego na chwilę naszym wejściem.

— Ano, cóż! — odrzekł Currito. — pokazało się, że ten Napoleon nie miał nawet kilkunastu porządnych koni do walki. Nim przyszło co do czego, byłem jak kot w worku, bo raz mówią, że walka będzie dziś, a drugi raz, że jutro, a tu zimno takie psie, że tylko chuchaj w palce. Włóczyłem się po tych przeklętych *ohwarach* (bulwarach) zły jak wszyscy dyabli, i już chciałem pluć na wszystko, kiedy nareszcie wykaraskali się z temi przygotowaniami... No, ale to było pękać ze śmiechu, panowie. Cyrk jak słoik pomady, a posługacze nieledwie, że w rękawiczkach. Powiadam, pękać ze śmiechu! Dość

wam powiedzieć, panowie, że gdy wyszedł pierwszy byk, to mu zagrali marsza!

Ogólny wybuch śmiechu przerwał na chwilę opowiadanie, poczem Currito ciągnął dalej:

— Zabiłem pierwszego byka takim pchnięciem, że gdybym je dał w Sewilli, to, panowie, wszystkie dzwony Giraldy bilyby mi na wiwat. Ale czy w tym głupim kraju ma kto o czem pojęcie? Bez jednego brawa przeszedłem arenę i zbliżyłem się do cesarskiej łoży, żeby wypić *brindę*¹⁾. Siedział tam Napoleon, wyprostowany, jak gdyby kij połknął, i cesarzowa i księżę następca i paru jeszcze panów i pań, a wszystko takie suche i sztywne, jak z drewna. Cesarzowa dała mi znak i kazali mi wejść do łoży. Wtedy Napoleon włożył sobie okulary, obejrzał mnie od stóp do głów i, dacie wiarę panowie, zupełnie jak gdyby kot domowy wszedł do pokoju, odwrócił się plecami i zaczął rozmawiać z jakąś starą babą, która miała na głowie jakiś ogromny biały czepiec, a w ręku pęk piór zamiast wachlarza. „Z jakiejże dzwonnicy uciekła ta wrona“ — pomyślałem sobie, bo ledwom na nią spojrział, już mnie coś od niej odrzuciło. A potem dowiedziałem się, że to była księżna la *Mota* (La Motte) grzyb blisko ośmdziesięcioletni.

Z tem wszystkim zdjęła mnie złość na taki despekt, jaki mi Napoleoa okazywał, boć przecie *brindowałem* do niego po francusku i...

— Po francusku! — wykrzyknęło kilka głosów. — Jakże to było? Cóżes powiedział? Powtórz, Currito! powtórz!

¹⁾ Jest zwyczaj w Hiszpanii, że gdy koronowane osoby znajdują się na walce byków, *torrero* po zabicie byka spełnia kielich na ich cześć z odpowiedniemi przemówieniami. Nazywa się to technicznie: *brindar el toro*. (Przyp. tłóm.).

— A no cóż; powiedziałem mu: „*Brinduje* za was i za waszą kobietę, i za waszego wyrostka”.

Nowe wybuchy śmiechu wstrząsnęły komnatą, i śmiano się tak gwałtownie, aż Currito musiał uciszać rozweseloną młodzież.

— Cesarzowa — opowiadał dalej, przyprowadziwszy swych słuchaczy do porządku — że to niby Hiszpanka, okazała się polityczniejszą. Zaczęła ze mną rozmawiać; powiedziała mi, że mnie pamięta jeszcze z Granady i ogromnie się o mnie troszczyła, żebym kiedy jakiego wypadku nie miał. A wtem, to stare czupiradło odwraca się i mówi z taką miną, co to nie przystępuj bez kija:

— Ten biedny byk *barr*rdzo *kr*rrr wawił.

— A ja jej na to: „Niech go pani pośle do konowała, żeby mu dał trutkę, to zdechnie bez krwi”. Nie wiem, czy mnie zrozumiała, ale powiadam wam, panowie, że cesarzowa aż się krztusiła ze śmiechu.

A tymczasem, kiedy ona się tak śmiała, a on rozmawiał jakby nigdy nic, zbliża się do mnie mały Napoleonek, bierze mnie za chwasty od kurtki i po hiszpańsku mówi mi do ucha:

— Darujesz mi to piękne ubranie?

— Z całego serca — odpowiedziałem mu — dziś jeszcze pošlę ci je do domu. Bo powiadam wam, panowie, że to był czysty cherubinek ten chłopak.

I tak się też stało. Jeszcze tego wieczora posłałem mu cały ubiór do Tuilleries, z takim napisem na bardzo pięknej karcie:

Księciu następcy Currito Pencas.

Ale posłuchajcie, panowie, co się dalej stało. Nazajutrz wieczorem szykowałem się właśnie do wyjścia, aż tu się drzwi otwierają i wchodzi niejaki *Mousiou Coliflor* (*Colfleuri*), szambelan cesarski, sucha bestya jak tyczka.

— Pan Pencas? — powiada do mnie.

— Do waszych usług, przyjacielu — odrzekłem mu.

Tedy zaczął mi gadać różne grzeczności... a pan Pencas to, a pan Pencas tamto... wreszcie wyjmuję cztery bilety bankowe po tysiąc franków i kładzie mi je w rękę, mówiąc, że to cesarz mi przysłał, jako zapłatę za ubiór, który podarowałem jego chłopcu.

Krew mi uderzyła do głowy, panowie; jak gdyby mnie ten człowiek chlusnął w pysk. Mnie... mnie... płacić cztery tysiące franków za podarunek, jaki mi się podobalo uczynić!

— Trzymaj się, Currito, trzymaj się! — powiedziałem sobie w duchu — trzeba utrzczyć szkłem nosa temu pyszałkowi. I jakby nigdy nic, rzucam ja owe bilety na stół, nawet na nie nie spojrzawszy, i mówię do mego kompana:

— Siadajcie *Mousiou Coliflor*, wypalimy sobie cygaro. I wyjmuję złotą ażurową cygarnicę, którą mi podarowała królowa.

— O! jaka piękna cygarnica! — powiada *Coliflor*.

— Nie brzydka — odpowiadam niedbale. — Podarowała mi ją królowa hiszpańska.

— A jakie wyborne cygara!

— Ano, niezłe — mówię znów. — Król portugalski przysłał mi takich sześć pudełek.

Mój pan *Coliflor* rozdziawia gębę... a ja, jakby nigdy nic, skręcam owe bilety w tutkę, zapalam je u stoczka i podaję mu, żeby sobie zapalił cygaro.

A on jak nie wrzaśnie:

— Co pan czynisz, panie Pencas! Palisz pan pieniądze!

— Nie bójcie się, panie — odpowiadam mu na to — jeszcze mi tam zostanie w kieszeni kilka reali, żeby cesarzowi kupić katarynkę i małpkę, jeżeli zechce przywędrować do Hiszpanii na zarobek.

— Co to pan mówisz, panie Pencas?

— Mówię, jeżeli wam to do wiadomości potrzebne, że Currito Pencas nie jest żadnym drapi-chrustem, ani też wycieruchem królewskich pokoi. Rozumiesz pan? I mówię, że gdy Currito Pencas, co komu podaruje, to mu się za to płaci sercem, nie pieniędzmi... I mówię, że Currito Pencas nie pozwoli się ponieierać, ani cesarzowi francuskiemu, ani cesarzowi całego świata. Rozumiesz pan, co? rozumiesz?

— Nie mogę ochłonać z przerażenia...

— To się pan napij wody, a zaraz cię ochłodzi... — odpowiedziałem mu, odwracając się od niego plecami. I tegoż samego wieczora zebrałem całą gromadę i wsiedliśmy do wagonu, mówiąc przez okna: „Bywaj zdrów, Paryżu. Trzymaj się ciepła bez Currita Pencas“.

Currito Pencas umilkł i wówczas zapał słuchaczy dosięgnął szczytu. Ta złota młodzież, mająca bałwochwalczą cześć dla Paryża, tego Paryża, który Veuillot nazywał *Uniwersytetem siedmiu grzechów głównych*, oburzała się, że Paryż prawdziwie elegancki i wykształcony nie padł na kolana przed jej bożyszczem, lecz widział w niem tylko strojnego cyrkowca. Pełne godności postąpienie Napoleona zostało okrzyknięte za zbrodnię obrazy majestatu tego bohatera byczej areny, a zuchwalstwo jego samego poczytano mu za czyn bardziej rycerski i wspaniały niż nawet postępek owego hrabi de Benevento, który obrócił w perzynę pałac swój, za to, że pod jego dachem ugościł Kontsablą de Bourbon, zdrajcę swojej ojczyzny,

Otoczono zatem Currita i z okrzykami: „Dobrze! Brawo! Wiwat Currito! Niech żyje Sevilla” podniesiono go razem z krzesłem nieboszczki Dubarry i postawiono na stole.

— Boć to przecie jasne, moi panowie — rzekł Currito z wyżyn swojej apoteozy. — Kto co ponie-działek zabija sześć byków, może raz w życiu dać prztyczka w nos cesarzowi... Co?

W tej chwili otwały się drzwi i wszedł kilkunastoletni murzynek, ubrany w zieloną liberyę, niosąc ogromną tacę pełną butelek, talerzy i kieliszków. Był to *groom* Manola, który przynosił *lunch* dla gości.

Sam Manolo nalał mnie i Fernandowi wina, oraz uczęstował nas ciastkami, poczem zwrócił się do murzynka z rozkazem, aby nas zaprowadził do lwiej grotty. Zapewne obecność takich dwóch niewinnych świadków krępowała swobodę towarzystwa. Ale Fernando, który za nic nie chciał odstąpić Currita Pencas, podniósł taki krzyk i tak się opierał, że aż brat musiał go siłą wyrzucić na ogrodowe schody. Tam rozkazał swemu lokajowi, aby po obejrzeniu lwa odwiózł nas do domu w tem samym tilbury, które nas tu przywiozło.

Zaledwie oddaliśmy się trochę, usłyszeliśmy piękny, barytonowy głos Manola, śpiewający do taktu brzękowi kieliszków słynne *brindisi* Orsiniego z „Lukrecyi“:

*Il secreto per esser felice
So io per prova, é l'insegno agli amici...*

Słyszac to, Fernando zgrzytnął zębami z wściekłości i wykrzyknął:

— Gdybym był lwem to połamałbym kraty i pożarłbym swego brata i tego durnia Manola.

Że jednak nie był lwem, musiał poddać się losowi i rad nie rad wsiadł ze mną do tilburi, podczas gdy wesola kompania ze śmiechem i krzykiem sadowiła się na brek, zaprzężony w cztery konie,

któremi powodował sam Manolo. Wkrótce brek zniknął nam z oczu, pędząc dobrym kłusem w stronę la Picota.

Po drodze rozminęliśmy się z dwoma najętymi powozami, z których z po za spuszczonej u okien firanek doleciały nas kobiece głosy i chichoty. Lokaj, bardzo poufale obchodzący się z Fernandem, uśmiechnął się dziwnie i powiedział mu coś, czego nie rozumiałem. Fernando odrzekł mu także parę równie dla mnie niepojętych wyrazów i wpadł w głęboką zadumę.

Chcąc go rozerwać, dałem mu szcztka w bok.

— Daj mi pokój!—odrzekł szorstko—nie bądź dzieckiem.

I coraz bardziej zamyślony, śledził wzrokiem owe dwa powozy, które w tej właśnie chwili skręcały także na drogę do la Picota.

Biedny Fernando! W trzy miesiące potem umarł po krótkiej chorobie, a matka jego nie pozwoliła wezwać do niego spowiednika.

— Poco go przestraszać?—mówiła.—Toż to niewinny aniołek.

Ach, niestety, nie są aniołami w trzynastu latach ci chłopcy, których matki zostawiają niebacznie na opiece sług od najwcześniejszego dzieciństwa.

II.

Tak upływały dnie Manola, podobne jedne do drugich w swej próżniaczej, bezmyślnej wesołości. Niczem niekrępowana swoboda otwierała mu drogę

do wszelkich występków, a wielki dostatek na każdym kroku nowe nastęrczał pokusy.

Nigdy rodzice jego nie sprzeciwili mu się w niczem, nigdy nie odmówili bodaj najnieodrzeczniejszej jego zachciance, i ta bujna, nieokiełznana natura rozwijała się sama, jak dzika płonka na opuszczonym gruncie. Obcą mu była walka z samym sobą, wszelka konieczność przewycięzania swego ja; nie pojmował zgola, aby życie mogło mieć jaki inny cel po za dogadzaniem własnym upodobaniom; i w filozofii tej szedł dalej nawet, niż ci, którzy mówią: „Jedzmy i pijmy, bo pomrzemy jutro;” jemu bowiem zdawało się, że nie umrze nigdy.

Tymczasem jednak jego ojciec, i potrzeba było podzielić na sześć części (Manolo miał pięć siostr) ów majątek, który wydawał się tak olbrzymi, a który w gruncie rzeczy był zrujnowany przez nie-dbałą administrację, a nadewszystko długi, tego raka, toczącego tyle fortun pańskich.

Wówczas, nagle, ów świetny młodzieniec ujrzał się dziedzicem jedynie świetnego imienia, którego blasku niczem podtrzymać nie mógł i ofiarą przeróżnych wymagań swego położenia w świecie i swego wychowania. Po raz pierwszy zmuszony był sięgnąć wzrokiem po za widnokrąg koni, psów, byków, salonów i lupanarów, w jakim żył dotąd zamknięty, i ze zdumieniem zobaczył, że tuż za dostatkim szła mierność, a tuż za miernością mogła nadejść niedza.

Ani na chwilę jednak nie przyszło mu do głowy zerwać z tem życiem zbytku i próżniactwa, do jakiego wdrożyli go rodzice. Postanowił tylko podprzeć chylącą się do upadku wielkość domu małżeństwem z córką jakiego bogatego bankiera lub przemysłowca, i w tym celu rzucił się w większy jeszcze wir świata i większego jeszcze zadawał szyku. Ale czy to że nie znalazł dla siebie odpowiedniej partyi,

16
czy że nie był dość pożądaną dla innych, owe matrymonialne zamiary nie urzeczywistniały się jakoś. Wtedy przyszło mu na myśl poświęcić się polityce, tej hazardowej grze, w której wszyscy mogą kusić fortunę; ale brak wykształcenia zamykał mu wszystkie uczciwe drogi, jakimi dochodzi się do stanowisk wyższych, a nieprzewyciężone lenistwo i brak wytrwałości czyniły mu również niedostępnymi inne ścieżki, którymi przepycha się ambicya, z silną połączona wola.

Tymczasem dni płynęły za dniami, płynęły też i pieniądze Manola, tak, że po dwóch latach nie zostało mu nic zgoła ze spadku po ojcu. Ale i to go nie opamiętało; zmienił tylko postępowanie o tyle, że zaprzestał płacić długi, jakie na wszystkie strony ciągał, i spadając coraz niżej, doszedł w końcu do tego, że żył zupełnie kosztem własnego wstydu i cudzej łatwowierności lub dobroci. Wyzebrywał pożyczki, wieszał się u klamek swoich bogatych krewnych, zjadał u nich obiady i śniadania, wykręcał się wierzycielom i zastawiał klejnoty, a nawet ubrania, aby kupić bukiet jakiej modnej aktorce, lub zaspokoić jaką inną podobną zachciankę, która mu się wydawała obowiązkiem towarzyskim lub koniecznością jego położenia w świecie.

Nie przyszło mu to z łatwością. Człowiek z dobrego gniazda, dopóki się ostatecznie nie spodli, ma w sobie wrodzone poczucie honoru i uczciwości i ciężko mu się z niemi uporać. Jakimże wstydem splonęło mu czoło, gdy po raz pierwszy nie mógł zapłacić długu, o jaki mu się upominano! Jaki ból, gdy po raz pierwszy przestąpił próg lombardu! Jakie upokorzenie, gdy musiał wrzescie odczuć, że wszędzie traktują go jak pieczeniara!

A przecież Manolo nie miał już nieomal własnej koszuli na grzbiecie i potrzebował dobrze nasuszyć sobie mózg, nim udało mu się wydobyć z kąd

cztery pesety na kupienie pary rękawiczek, a wciąż jeszcze trzymał powóz i konie, wciąż abonował krzesło w teatrze, wciąż wydawało mu się niepodobieństwem wyrzec się tego lub owego ze swych zbytkownych przyzwyczajęń, które, wpajane mu od dzieciństwa, stały się jego drugą naturą.

Pewnego dnia wyjechał na spacer, powoząc zreźnie zaprzężonymi w lejc końmi swego tilbury, mając za sobą lokaja, który siedział ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i piastował w nich łaskę swego pana z kosztowną malachitową gałką. Nagle jakiś człowiek z ludu, z twarzą wściekłą i kijem w zaciśniętej pięści, rzucił się na konie i silnym szarpnięciem osadził elegancki ekwipaż na miejscu. Oburzony Manolo podniósł bicz, aby ukarać śmiałka, nie poznawszy w nim stolarza klubu torreadzistów, któremu winien był trzy tysiące reali za krzesła, dzidy i pałeczki do banderilli. Ale ten, szybki, jak błyskawica, wskoczył na stopień powoziku i chwytając złotego młodzieńca za kołnierz, wrzeszczał na całe gardło:

— Moje dzieci umierają z głodu, a ty się robijasz powozem! Zapłać mi, lotrze, zapłać, albo cię uduszę!

I z temi słowy, wcale nie dwuznacznym ruchem, podniósł kij i już go miał spuścić na plecy eleganckiego dłużnika, gdy Manolo, wyrwawszy mu się rozpaczliwie, wyskoczył z drugiej strony powozu i bardziej wściekły niż zawstydzony, zniknął w tłumie ciekawych, jaki się wnet dokoła nich zgromadził, podczas gdy stolarz wrzeszczał, pieniąc się ze złości:

— Oszuście! złodzieju! choćbyś się skrył pod ziemią, to cię znajdę i wydrę ci z gardła moje pieniądze!



Wypadek ten napełnił Manola takim strachem, że nie chcąc się doczekać spełnienia stolarzowych pogroźek, postanowił mu co najprędzej zapłacić. Tak; ale żądał tu wziąć trzy tysiące reali, nędzną kwotę, która dla jego pustej kieszeni przedstawiała sumę po prostu przerażającą.

Zaprzątnięty tą myślą, udał się przed wieczorem do domu hrabiny Z**, swojej bogatej i znakomitej krewnej, której jedyna córka miała za kilka dni wyjść za mąż.

Wszystkie panie znajdowały się w maurytańskim salonie, któremu za wejście z obu stron służyły arabskie kolumny, przysłonięte cienkimi firankami z mogadorskiego jedwabiu. W salonie tym urządzona była wystawa podarunków ślubnych narzeczonej, a zgromadzone tam przyjaciółki i kuzynki hrabiny oglądały, podziwiały, krytykowały z zazdrością w duszy ten olbrzymi zbiór strojów i klejnotów, przedstawiający wartość przeszło dwóch milionów reali. Każdy przedmiot miał na sobie karteczkę z nazwiskiem osoby, od której pochodził, a cały ten bazar rozłożony był na ogromnych stołach, zajmujących całą długość salonu.

Manolo przywitał się serdecznie z hrabiną, osobą już podeszłego wieku, której powierzchowność wyrażała dziwnie imponujące połączenie słodyczy i stanowczości, rozważi i dobroci. Ubrana była czarno, z pewnym surowym zbytkiem, odpowiadającym jej wiekowi i stanowisku; włosy jej, zupełnie białe, spięte w tyle głowy dżetowym grzebieniem, układały się dokoła skroni w duże loki, co ją czyniło podobną do rzymskiej kamei.

Manolo, przywitawszy z kolei inne panie, zaczął wraz z nimi odbywać dalszy przegląd podarunków.

— Ach, cóż to za prześliczna rzecz! — wykrzyknęła jedna z pań, zatrzymując się przed zwojem

koronek, spoczywających na podkładzie z błękitnego atlasu.

— To jest podarunek mojej kuzynki, lady M.* — rzekła hrabina i chcąc rozwinąć koronki, upuściła na dywan batystową chusteczkę, którą trzymała w ręce.

— Te koronki — mówiła dalej, pokazując je — należały kiedyś do królowej Anny Stuart; tworzą tylko mankiety rękawów i ocenione są na pięć tysięcy dolarów.

— Nie uważam, aby to było stosownie robić prezenty z rzeczy używanych — rzekła kwaskowato jedna z dam, kryjąca swą starość pod pokładem kosmetyków i sztucznych włosów, która wszystkiemu przyganić musiała.

— A mnie przeciwnie, podarunek ten wydał mi się stosowniejszym, niż wszystkie inne — odparła hrabina — ponieważ królowa Anna podarowała niegdyś te koronki prababce mojej kuzynki, a ona dała teraz mojej córce, aby pozostały w rodzinie.

— To rzecz zapatrywania — rzekła wymalowana dama, krzywiąc pogardliwie usta. — Co do mnie, nigdy nie włożyłabym na siebie cudzej starzyzny, choćby ją nawet niegdyś nosiła królowa.

— W taką starzyznę niejedna księżna ustroiłaby się z ochotą — rzekła hrabina, zaczerwieniwszy się lekko. — Ale żeby cię przekonać, że moja kuzynka nie samą starzyznę rozdarowuje, oto masz uzupełnienie jej prezentu.

I mówiąc to, hrabina obu rękoma podniosła bogato cyzelowaną, srebrną szkatułkę, napełnioną olbrzymimi perłami Guzraty, których nasypało tam bez oprawy, zupełnie jakby to były orzechy, około stu sztuk.

— Ależ to poprostu majątek! — wykrzyknęła jedna z pań zdumiona.

— Nawet nie wiem, ile ich jest, bom nie liczyła—rzekła z całą szczerością hrabina.

Usłyszawszy to Manolo, podniósł żywo głowę i zaczął przyglądać się wspaniałym perłom ze szczególną uwagą, pokręcając w zamyśleniu wąsa, podczas gdy dama ze sztucznymi szynionami mówiła z przekąsem:

— Spodziewam się. Mąż jej był wice królem w Indyach, to jej to łatwo przyszło tej dobrej lady zapychać worki perłami.

Hrabina chciała coś odpowiedzieć, ale przerwało jej wejście lokaja, oznajmiającego gościa, który oczekiwał na nią w sąsiednim salonie. Hrabina zaproponowała damom, aby przeszły z nią do owego salonu, a Manolo, korzystając z tego, zaczął się żegnać.

— Odchodzisz już, Manolo? — rzekła hrabina, podając mu rękę.

— Tak—odparł tenże—muszę wstąpić do cyrku, a potem pójdę posłuchać „Hugonotów.” Tamberlick był wczoraj niezrównany!

— Ale przyjdiesz jutro na obiad... To środa!

— Spodziewam się! — odrzekł Manolo, i zwracając się do innych pań, dodał z uśmiechem:—Gdzie znalazłbym takiego Amfitryvona, jak hrabina... i takie kotlety, jakie przyrządza jej kucharz.

Hrabina zaczęła się śmiać.

— Pamiętajże—rzekła—że ze mnie Amfitryon stały, a kotlety równie stale przyrządzane są co środa, kucharz ma sobie zapowiedzianem, żeby ich nigdy nie brakło.

— Hrabina mnie psuje, doprawdy!

— A cóż mam robić, mój chłopcze! — odparła dobroliwie sędziwa dama. — Dogadzać młodemu, to jedyna starych przyjemność.

Manolo zstępował powoli ze wspaniałych schodów, naciągając rękawiczki; na pierwszym piętrze

zatrzymał się, zaczął czegoś szukać po kieszeniach, i zawróciwszy, wszedł znów do maurytańskiego salonu, jak gdyby tam czegoś zapomniał.

W salonie nie było nikogo; Manolo, widząc się samym, rozejrzał się dokoła niespokojnie i szybko przystąpił do miejsca, gdzie leżały koronki królowej Anny i perły Guzaraty. Tu znów się zatrzymał i znów rzucił wystraszone spojrzenie na wszystkie strony. Dwa razy wyciągał rękę i dwa razy ją cofał; wreszcie wyciągnął ją po raz trzeci i błądzący od stóp do głowy, porwał ze szkatułki cztery wspaniałe perły.

W tejże samej chwili u przeciwnego wejścia do salonu rozległ się lekki, stłumiony okrzyk i szelest jedwabiu. Manolo podniósł głowę przerażony i zobaczył, że firanki pomiędzy kolumnami chwieją się leciuchno, jak gdyby w tej chwili za kimś opadły.

Nędznik stał parę minut nieruchomy, zmartwiał; język przysechł mu do podniebienia, oczy utkwiliły, jak zahypnotyzowane, w poruszających się drapekach, nagle poskoczył i gwałtownie rozsunął firanki. Nie było nikogo; tylko na posadzce leżała cieniuchna, batystowa chusteczka, z wyhaftowaną w jednym rogu literą G. i koroną królewską. Była to ta sama, którą hrabina upuściła w salonie, pokazując koronki.

Wówczas wydało się Manolowi, że jest zgubionym. Wybiegł pędem z salonu, w kilku susach znalazł się na dole i nie przestając biedz, mijał ulice i place, nie wiedząc dokąd idzie, w zaciśniętej dłoni ściskając wciąż ukradzione perły.

W uszach dzwięczał mu bezustanku ów stłumiony okrzyk i szelest jedwabiu, a przed jego wystraszonymi oczyma tańczyły jakby olbrzymie, ogniste litery, składające się w jeden wyraz: „złodziej!”

Zdawało mu się, że wyraz ten powtarza całe miasto, że go ścigają zewsząd.

Dopał wreszcie mostu królewskiego, gdzie o tej porze pusto było zupełnie, i przechylwszy się przez balustradę, cisnął z wściekłością w mętne wody rzeki owe cztery przepyszne perły.

Wtedy dopiero wydało mu się, że jest bezpiecznym, co więcej, że zmaszał zupełnie swój występki, i padłszy na kamienną ławkę mostu, odetchnął z głębi piersi.

III.

Nazajutrz była już pierwsza po południu, a Manolo nie wstał jeszcze z łóżka, chociaż nie spał. Nie zmrużywszy oka przez całą noc, leżał na poduszkach, ze wzrokiem utkwionym w sufit i po raz pierwszy może w życiu—rozważał.

Jakieś nagle światło zstąpiło aż na dno jego duszy i poruszyło spoczywające tam ostatki wstydu i honoru, ukazując mu przepaść, w jaką się staczał.

Zaczęła go ogarniać zgroza na myśl, że chciał spłacić dług kradzieżą; znękana myśl jego pracowała nad wynalezieniem jakiegoś środka, mogącego zabezpieczyć go od ruiny i hańby; głos jakiś mówił mu, że powinien zacząć inne życie.

Ale jakie? Tysiące najdziwaczniejszych pomysłów wirowało mu po mózgu; żaden nie miał w sobie podstaw rzeczywistych i ledwo błysnąwszy, gasł, pograżając umysł nieszczęsnego młodzieńca w coraz głębsze ciemności, z których stale wylaniał się tylko ów potężny kij stolarza, wzniesiony nad jego plecami i owe poruszające się firanki, niby straszny świadek oskarżyciel.

I znów Manolo obracał wzrok na wszystkie strony, znów pogrążał się w myślach, napróżno szukając wyjścia z tego błędnego koła długów i ruiny. Nie przyszło mu tylko do głowy, nieszczęsnemu, podnieść oczy ku niebu, ni wezwać na ratunek Maryi, tej ucieczki wszystkich, bo nie nauczono go szukać tam ratunku i pociechy.

A potem, niby fantastyczne cienie, zaczęły się poruszać przed jego oczyma dnie minionej świetności, większą jeszcze goryczą zaprawiając nędzę chwili obecnej, i szarpnął nim okrutny ból człowieka, oplakującego straty z własnej poniesione winy. Było w nim w tej chwili coś z bezsilnej wściekłości skańca.

Nieszczęśliwy wiał się po łóżku i gryził poduszki w okropnem poczuciu beznadziejnej zguby.

— Ach!—jęczał, lkając—czemuż nie umiem zarabiać na życie! Gdybym miał dosyć siły woli, aby się przewyciężyć!... Gdybyż mnie byli od dziecka zaprawili do pracy i rozważli. Mój ojciec nie pozwolił nikomu palca na mnie zakrzywić, a teraz pierwszy lepszy łajdak grozi mi kijem. Matka nie pozwalała nauczycielom karać mnie, a teraz mogę się dostać do więzienia!

I kryjąc znów twarz w poduszki, płakał, jak dziecko bezradne i opuszczone. Ach, gdyby danem było jego rodzicom z głębin wieczności, patrzeć na upadek i cierpienie tego wypieszczanego syna, jakąż mądrą wydałaby im się przeczność innych bogatych rodziców, którzy niezależnie od majątku—rzeczy tak znikomej i zawodnej—wyposażają swe dzieci w jedynie trwałe podstawy życia: w zasady i pracę zawodową! Jakże zrozumieliby ów wykrzyknik Ludwika XIV-go, który przerażony raz własną nieokielznaną samowolą, która kazała mu spełnić czyn niegodny króla, zawołał: „Na Boga, czyż nie było

różeg w mojem królestwie, kiedy mnie wychowywano!”

Pukanie do drzwi sypialni wyrwało Manolę z jego gorzkich rozmyślań. Usłyszawszy je, przycupnęła na łóżku z tą nagłą trwogą, jaka zwykle nieczystemu sumieniu towarzyszy, i nie śmiała się odezwać. Wówczas otworzyły się drzwi i wszedł jego pokojowiec z listem na tacy. Manolo wziął list i przyglądał się bacznie adresowi. Pismo bowiem było mu zupełnie nieznaną. Rozerwał wreszcie kopertę i cztery bilety bankowe po tysiąc reali każdy wypadło z niej na koldrę.

W pierwszej chwili Manolo myślał, że śni, przetarł oczy i wówczas spostrzegł, że do banknotów dołączony był list bez podpisu, zawierający następujące słowa:

„Znam walki życia i wiem, ile się w nich kryje niebezpieczeństw dla młodości, pozbawionej doświadczenia i podpory. Pozwól mi więc, kochany Manolo, ofiarować ci moją przez pamięć przyjaźni, jaką łączyła mnie z twemi rodzicami. Od tej chwili możesz ubiegać się w ministerjum stanu o posadę, jaka ci najbardziej odpowiednią się wyda, a bądź przekonany, że ją otrzymasz; na wypadek zaś, gdybyś się znajdował w kłopotliwym położeniu, co tak często młodzieży się zdarza, racz przyjąć tę drobną pożyczkę, która udzielona ci w ten sposób, nie może zranic twej dumy. Gdy będziesz w możności zwrócenia mi jej, wtedy się o nią upomnę.

„Praca nie hańbi, mój drogi przyjacielu; postuchaj więc dobrej rady, którą ci szczerza życzliwość przesyła. Trudno to bardzo znieść ubóstwo z godnością temu, kto w dostatku był pysznym; ale jeżeli chcesz ułatwić sobie to zadanie, zwróć się do Boga, a wprędce zapuści korzenie w twą duszę ta

moc, córka wiary, która się zwie rezygnacją chrześcijańską.”

Manolo czytał i odczytywał ów list, aż, odchodząc niemal od zmysłów z radości, wyskoczył z łóżka i zaczął się na gwałt ubierać. Ani na chwilę jednak nie uderzyło mu serce wdzięcznością względem owego nieznanego dobroczyńcy; ani pomyślał nawet podziękować Opatrzności, która w tak cudowny niemal sposób okazywała mu swą łaskę. Oto miał czem zapłacić dług owego przeklętego stolarza; oto miał sobie przyrzeczoną tę posiadłość, która otwierała mu drogę do nowego życia, jakie tak pragnął rozpocząć, i w tem nagłem przejściu od zwątpienia do nadziei, obawy jego i troski pierzchnęły jak mgła i wydało mu się prawie niepodobieństwem, aby hrabina mogła była widzieć jego kradzież. Wszak wiatr mógł poruszyć owemi frankami i one to zapewne, będąc z jedwabiu, spowodowały ów szelest. Co się tyczy chusteczki, to hrabina mogła ją upuścić, przechodząc tamtędy, kiedy się z nim żegnała; a okrzyk... ach! ten okrzyk, na którego wspomnienie ciarki przechodziły mu po skórze, to poprostu mogło być złudzenie jego podrażnionej wyobraźni.

Wreszcie przyszło mu na myśl to, co w pierwszej chwili powinien był pomyśleć: że może sama hrabina napisała ten list. Ale podobnie szczytna szlachetność nie mogła mu się poprostu w głowie pomieścić; miał na to za poziomą duszę. Długo przypatrywał się z największą uwagą pismu, które wydawało się jakby umyślnie zmienione, wreszcie powiedział sobie z przekonaniem:

— To być nie może! Ja na jej miejscu kazałbym gonić złodzieja... To zapewne jaki dawny przyjaciel mego ojca, który dowiedział się o skandalu z tym przeklętym stolarzem.

Takimi bywają czasem ludzie, i takim zawsze był Manolo; i do takiego stopnia potrafił wmówić

w siebie, co chciał, że gdy nadeszła pora obiadowa, ubrał się ze zwykłą elegancją i z najswobodniejszą w świecie miną poszedł do hrabiny.

— Odwagi! Odwagi! — powtarzał sobie, aby zażegnać ów niepokój, który w miarę, jak się zbliżał ku pałacowi, zaczynał go znów ogarniać. — Jeżeli stara nic nie wie, to nic nie ryzykuję. Jeżeli coś podejrzewa, moja gęsta mina wyprowadzi ją w pole... Jeżeli zaś wie wszystko, pozostanie mi albo zaprzeczyć, albo uderzyć w pokorę i przyznać się do winy. Nie pożałuję patosu, a tą bronią zawsze z kobietami zwyciężyć można.

W przedśionku lokaje na jego widok powstałi z uszanowaniem, a Manolo uczuł, że czerwieni się po same białka oczu. Nogi ugięły się pod nim, gdy wstępował po schodach, a gdy wreszcie znalazł się przed wspaniałą aksamitną portyera, na której tle wyhaftowany był herb hrabiny, krew do tego stopnia uciekła mu do serca, że przez kilka chwil musiał się zatrzymać.

Opanowawszy się wreszcie, wszedł krokiem pewnym do gabinetu i stanął przed hrabiną, która podała mu rękę ze zwykłą uprzejmością. W imponujących jej rysach nie mignął nawet cień zdziwienia, niesmaku lub oburzenia; powlekała je, jak zwykle, powaga królowej i słodycz świętej.

Manolo doznał tak szalonego uczucia radości, że o mało się nie zdradził; ale pohamowawszy je, wmieszał się pomiędzy resztę biesiadników, i rozpromieniony, swobodny jak nigdy, zaczął z nimi rozmawiać. Co się tyczy hrabiny, ta w dalszym ciągu okazywała mu zwykle swe względy, przy obiedzie sama nałożyła mu na talerz owych sławnych kotle-tów, a gdy się żegnał wieczorem, rzekła doń tak, aby wszyscy obecni słyszeć ją mogli:

— Czy idziesz da teatru, Manolo?

— Wstąpię przynajmniej na tercet — odpowiedział. — Dają dziś „Lucyę.”

— W takim razie bądź tak dobry i oszczędź mi kłopotu napisania listu. W teatrze będzie baronowa D*, bo to dziś jej kolej; zajdź do jej łoży i oddaj jej to. To są pieniądze za bilety na loteryę, które mi dziś przysłała.

I z temi słowy hrabina wręczyła w obecności wszystkich Manolowi atlasowy woreczek pełen pieniędzy. Ten dowód zaufania rozproszył do reszty wszelkie obawy Manola. Uszczęśliwiony i lekki, jak ptaszek, udał się do teatru, powtarzając na głos przez drogę:

— Nie wie! Nic nie wie! Jestem uratowany...

Ale gdy, swoim zwyczajem, późno w noc wrócił do domu, zdjęła go chęć raz jeszcze odczytać list bezimienny i wówczas uderzyła go pewna okoliczność, na którą poprzednio nie zwrócił uwagi. Oto papier woniał temi samemi perfumami, jakich zwykle używała hrabina i jakimi wszystkie jej rzeczy i jej osoba bywały przejęte.

— To niepodobna! To nie może być ona! — wykrzyknął Manolo, drąc list na kawałki. — Gdyby to była ona, to ta kobieta byłaby szatanem przewrotności!...

I nie pomyślał niewdzięcznik, że raczej mogła być aniołem dobroci!

Pomimo tych nowych wątpliwości, Manolo spał wybornie i wstał nazajutrz zupełnie spokojny. Plan jego był gotowy: zaspokoi przedewszystkiem to wściekle bydlę, stolarza, którego kij i wrzaski takim napełniały go strachem; ułoży się z innymi swymi wierzycielami; następnie zażąda konsulatu w Rosyi, był to bowiem jedyny kraj w Europie, jakiego nie znał, i tam, żyjąc spokojnie z pensyi i dochodów,

będzie spłacał potrosze długi, a jednocześnie zakosztuje obcych mu dotąd przyjemności zimnego klimatu.

Wybiło południe i Manolo wybrał się sam do stolarza, lękał się bowiem powierzyć pieniądze służącemu, aby ten sam sobie z nich zaległych oddawna zasług nie zapłacił. Był już nawpół drogi, gdy nagle zrównał się z nim nadjeżdżający pędem myśliwski powóz, zaprzężony w cztery konie, z eleganckim młodzieńcem na koźle, pełniącym rolę stan-greta.

— Manolo! — wykrzyknął tenże, wstrzymując powóz. — Jak się masz! Jedź z nami do Hippodromu.

— Nie, nie mogę! — odparł Manolo, zmieszany nieco, gdyż w powożącym młodzieńcu i tych, którzy siedzieli w powozie, poznał swoich najlepszych towarzyszyów wszystkich hulank i uciech.

— Patrzaj! Manolo! To wybornie! Wsiadajże! Jedziemy na wyścigi! Dalej! żywo! — ozwały się głosy z powozu.

Jeden z młodzieńców wyskoczył na bruk i chwycił Manola za ramię, drugi wydobył z pod siedzenia zapieczętowaną jeszcze butelkę Xeresu i przyłożywszy ją do twarzy jak pistolet, wykrzyknął mierząc do niego:

— Wsiadaj lub giń!

Manolo opierał się jeszcze. Ale młodzieniec z koźla pochylił się ku niemu i rzekł po niemiecku, trochę drwiącym tonem:

— Może nie masz pieniędzy na zakłady?

Pytający był synem bogatego bankiera, bardzo wątpliwego pochodzenia i wszystka arystokratyczna krew Manola wzburzyła się w nim, gdy usłyszał te słowa, powiedziane z widoczną chęcią upokorzenia go. Odpowiedział też natychmiast z butą, godną swego przyszłego konsulatu:

— Służę ci! Będziemy się zakładali ile tylko zechcesz.

I zapomniawszy o kijach i długach wskoczył do powozu i pojechał z przyjaciółmi na wyścigi.

W godzinę po *lunch'u* Manolo przegrał trzy tysiące reali, przeznaczonych dla stolarza, na różne zakłady i prócz tego winien był pewnej młodej i ładnej margrabinie, która rozprawiała o dżokejach i koniach z zacięciem najzawołanego sportsmena, sześć par rękawiczek, o które się z nią także założył. Po powrocie z wyścigów kupił przesłiczne sandałowe pudełko i posłał w niem rękawiczki margrabinie, a resztę pieniędzy, jaka mu pozostała, strwonił na wesolą kolacyjkę z przyjaciółmi i przyjaciółkami z teatru *Bouffes*.

IV.

U stóp Alp nadmorskich, w tej części wyższych Włoch, jaką zajmuje Lombardia, w głębi skalistego wąwozu bije źródło wód leczniczych. Z lewej strony tego wąwozu odkrywa się widok na Monzę, starożytną stolicę lombardzko-weneckiego królestwa, z prawej wije się droga do Monaco, osławionego *corbeille de fleurs*, kryjącego w kwiecistym swem wnętrzu ową jadowitą gadzinę, która grobami samobójców pokryła całą tę ziemię, a której imię ruleta.

Tuż obok zdrojowiska znajduje się wspaniały „Hôtel”, w którym niema dla chorych kaplicy, gdzieby mogli błagać Boga o miłosierdzie, ale w którym wzamian za to nie zapomniano o sali balowej, aby ciż chorzy mieli gdzie przysposabiać się na śmierć,

ani rulety, filii Monte-Carlo, aby mieli gdzie wygrać pieniądze na pogrzeb. Jakiż to smutny widok patrzeć na pływające w takt skocznej muzyki nogi, którym wkrótce śmierć użyczy swej okropnej sztywności! Jakiż straszny widok patrzeć na wychudłą, drżącą rękę, kładącą na numer rulety sumy, które powinny już być zamieszczone w testamentcie!

Pośród ludzi uczciwych, przybywających tam dla picia wód, kręci się mnóstwo dwuznacznych indywiduów, graczy z profesyi, kobiet podejrzanych i tłum ten wrzaskliwy, rozgorączkowany, obsiada stoły gry od rana do nocy. Przy tych stołach słyszy się wszelakie narzecza, widzi się wszelakie monety; przy nich popełniają się wszelakie niegodziwości i cierpią wszelakie bóle! Tam również od czasu do czasu wstępuje śmierć i z pośród tego tłumu chorych i występnych wybiera sobie na traf ofiarę, która idzie na sąd Boski, podczas gdy reszta w dalszym ciągu gra, tańczy i cierpi.

W sierpniu 18** przybyłem do tego słynnego hotelu, towarzysząc jednemu z chorych Ojców, który miał tu pić wody.

Pewnego wieczora, towarzysz mój, czując się więcej zmęczonym, wcześniej, niż zwykle, spać się położył, ja zaś zabrałem się do pisania listów w sąsiednim pokoju. Zaledwie jednak umoczyłem pióro w kałamarzu, gdy zapukano do drzwi. Była to służąca hotelowa, która przysłała zawiadomieć mnie do umierającego. Chwyciłem krucyfiks i wyszedłem natychmiast, ona zaś zaczęła mnie prowadzić przez labirynt korytarzy, wijących się pomiędzy dwoma szeregami szczerlnie pozamykanych drzwi.

— Czy to ktoś bardzo chory? — zapytałem w drodze.

— O! może już i umarł—odpowiedziała z najpogodniejszą w świecie miną.—Dziś rano prosił mnie o księdza, ale mi to zupełnie z głowy wyszło. Do-

piero wieczorem zajrzałam zobaczyć, czy czego nie potrzebuje, ale już się z nim dogadać nie mogłam, *Madonna mia!* leży na wznak, oczy mu stoją słupem; pewno już nie żyje!

Zrozumiałem, że nie pora tłumaczyć tej kobiecie, na co zasługiwało jej postępowanie, przyspieszyłem więc tylko kroku, pytając znów:

— A cóż mówi doktor?

— Doktor go wcale nie widział, *signor*. On tu nie przyjechał leczyć się, tylko grać... To hołysz, *signor*; płaci tylko trzy liry.

Weszliśmy wreszcie na poddasze hotelu, i moja przewodniczka, wskazawszy mi uchylone drzwi, odeszła, mówiąc, że musi uprzedzić gospodarza, aby przed świtem kazał zabrać trupa tego człowieka, o którym nie wiadomo jeszcze było czy umarł. Wszedłem więc sam do małej, dusznej, cuchnącej izdebki, której całe umeblowanie składało się ze stołu, dwóch stołków i nędznego tapczana.

Na tapczanie leżał na wznak ów chory. Oczy miał zamknięte, ale oddychał jeszcze, choć z wielką trudnością; jedna ręka, biała i delikatna, jak u kobiety, wysunięta z pod kołdry, przyciskała silnie parę sztuk odzieży starej i zniszczonej, w którą zapewne próbował się ubrać.

Przy blasku palącej się na stole świecy zacząłem rozpatrywać się w tych rysach, na których śmierć wycisnęła już swe charakterystyczne piętno. Człowiek ów mógł mieć przeszło czterdzieści lat; twarz jego trupio blada, lecz pokryta czerwonawymi plamami i krostami, zdradzała nałogowego pijaka. Wogóle uczynił na mnie wrażenie odpychające; oparowałem je wszelako, pomyślawszy, że mógł to być człowiek zepsuty, a nawet może zbrodniarz zupełny, w każdym razie jednak nie był bezbożnikiem. Sama ta okoliczność, że żądał księdza, przemawiała za tem, iż tliła w nim jakaś iskierka wiary, jaką człowiek,

pograżony w najgłębszej nawet otchłani występku, zachować przecież może.

Pochyliwszy się nad nim, potrzęsnałem nim, naprzód zlekka, potem coraz silniej; następnie przemawiałem do niego w różnych językach, nie wiedząc, jakiejby był narodowości. Ale umierający wciąż leżał nieruchomo i zdawał się nie słyszeć; oczy miał zamknięte, usta nawpół rozchylone, w piersiach rzęziło mu okropnie, a serce uderzało nierówno i prędko.

Niepodobieństwem było udzielić mu Ostatniego Namaszczenia; najbliższe bowiem ztąd miasteczko Roccabruna znajdowało się o dobrą godzinę drogi i to pod górę. Polegając więc na tem, że skoro nieszczęśnik wzywał księdza, to widocznie pragnął pojednać się z Bogiem, wyciągnąłem nad nim ręce i udzieliłem mu rozgrzeszenia *sub conditione*.

Następnie położyłem mu krucyfiks na piersiach i siadłszy u wezglowia, niosłem mu jedyną ulgę, jaka była w mojej mocy, to jest zwilżałem od czasu do czasu jego wyschłe wargi, maczając własną chustkę w stojącym obok naczyniu z wodą.

Tak minęły dwie godziny. Gdzieś z sali balowej dolatywały tu stłumione dźwięki polki i kojarzyły się z coraz bardziej świszczącym oddechem konającego. Powietrze stawało się tak duszne, że w końcu zmuszony byłem otworzyć okno, aby zaczerpnąć tchu. Tuż wprost znajdowała się sala gry i przez okna jej, również na oścież otwarte, widzieć ztąd mogłem doskonale pod zielonemi umbrellkami olbrzymich lamp, rozgorączkowane twarze graczy i stosy złota, pokrywające sukno rulety.

Wtem jakiś szmer ostry i przykry rozległ się od strony tapczana. Sądziłem, że konający drapie ścianę paznogciami, i podbiegłem ku niemu. Ale zastałem go tak samo nieruchomym, z zamkniętymi, jak poprzednio, oczyma. Po niejakiem czasie ów dzi-

wny szmer, który mnie tak przeraził, powtórzył się, i wówczas przekonałem się, że nieszczęśnik zgrzyta zębami.

W tej samej chwili ozwał się znów z oddalenia fortepian pierwszemi tonami słynnego brindisi z Lukrecyi, i piękny kontraltowy głos zaczął śpiewać:

Il secreto per esser felice...

Serce ścisnęło mi się takim żalem, że nie mogłem powstrzymać się od łez... Raptem przypomniało mi się dzieciństwo moje i ta arya, słyszana niegdyś w parku Manola, i Fernando, zgrzytający zębami—Boże się zmiłuj! bez mała tak samo, jak ten konający nędzarz... — i owe świetne grono młodzieży otaczające Currita Pencas, a nadewszystko sam Manolo, piękny, wesoły, jaśniejący zdrowiem i młodością, Manolo!

Zdjęty nieopisanem wzruszeniem, chwyciłem krucyfiks i przycisnąłem go do ust umierającego; ale usta pozostały nieruchome i nie ucałowały go.

O drugiej w nocy umierający poruszył zwolna głowę; trochę krwi wypłynęło mu z ust w półotwartych; nie ulegało wątpliwości, że lada chwila skona.

Wówczas ukląknęłem przy łóżku i zacząłem odmawiać modlitwy za konających. Gdy doszedłem do słów: *Redemptorum tuum facie ad faciens, videas* umierający wzdrygnął się gwałtownie. Otworzył oczy, popatrzył na mnie z przerażeniem, przechylił głowę w tył z taką siłą, aż w karku mu zachręściło, strumień czarnej krwi buchnął mu przez nozdrza i usta i skonał.

Doznałem takiego uczucia zgrozy, że zaledwie zdołałem wybełkotać dalsze słowa modlitw. Skończywszy je, zawołałem pokojową, a wkrótce potem nadszedł właściciel hotelu w towarzystwie doktora i dwóch innych ludzi. Nie chcąc być świadkiem dalszych okropności, powróciłem śpiesznie do mego pokoju i długo jeszcze modliłem się za duszę tego bezimiennego nędzarza.

Po jakimś czasie usłyszałem skrzyp bocznych drzwi, wychodzących na pole, a znajdujących się tuż pod moim oknem. Świtało już, i mogłem rozróżnić dwóch ludzi po wiejsku ubranych, którzy wysuwali się w tajemniczy jakiś sposób. Jeden z nich niósł na ramieniu łopatę, drugi prowadził osła, który dźwigał przerzucony wpoprzek jakiś toból, owinięty w brudną płachtę.

Obaj ci ludzie skierowali się w milczeniu na wąską stromą drożynę, wiodącą do Roccabruna, starożytnego miasta, należącego niegdyś do Monaco, a dziś do Francyi.

Na zakręcie drogi wiatr odwinął róg płachty i wówczas z nieopisanem uczuciem wstrętu, smutku i zgrozy ujrzałem sterczące z pod niej nagie i obwiązane powrozami nogi trupa.

Takim był pogrzeb tego nieznanego, który—kto wie, przyszedł może na świat w złoconej kołysce, a świat go oddawał ziemi—bez trumny.

V.

Tegoż wieczora przyszedł do mnie właściciel hotelu, prosząc mnie, abym mu przetłómaczył na

włoski kilka listów pisanych po hiszpańsku, a znalezionych w walizce zmarłego.

— To był fałszerz z Hiszpanii — rzekł mi. — Niech *signor* zobaczy tylko, co miał w podwójnem dne swojej walizki.

I z temi słowy pokazał mi kilka płyt z falsyfikatami bankowych biletów hiszpańskich i włoskich. Rzuciłem okiem na koperty tych listów i z nieopisanem przerażeniem zobaczyłem, że wszystkie były adresowane na imię Manola...

Wówczas przyszło mi na myśl opisać to zdarzenie, ku przestrodze niektórych ojców rodzin.

To był święty!

Jest w mieście X. wielki plac kształtu owalnego, nazywany Salonem Królowej. Wybrukowany on jest małemi płaskimi kamyczkami, dokoła niego biegną wygodne kamienne ławki z żelaznym oparciem, a posągi z białego marmuru na postumentach czarnych, marmurowych również, zdobią jego cztery wejścia. Ocieniają go w krąg pomarańczowe drzewa, poprzegradzane olbrzymiemi palmami, o prostych, smukłych pniach i rozłożystych wachlarzach; szemrzą łagodnie fontanny w marmurowych cysternach, uwieczonych fiołkami, których woń, połączona z zapachem pomarańczowego kwiecia, blaskiem słońca i świeżością wody, upaja zmysły, przywodząc na pamięć wspomnienia czarodziejskich ogrodów Alhambry. A nad tem wszystkim wspina się, jak namiot błękitny, cudne niebo Andaluzji, na podobieństwo owych płóciennych opon, jakie osłaniają eleganckie werendy sewilskie, przeobrażające się w salony podczas gorących letnich wieczorów.

Pierwszego listopada, roku, w którym się rozpoczyna nasze opowiadanie, nastąpiło otwarcie zimowego sezonu w Salonie Królowej, według tradycyjnego zwyczaju. Dwie orkiestry grały kolejno od pierwszej do trzeciej po południu, towarzystwa do-

broczone wynajmowały swoje niewygodne żelazne krzeselka, panie i panowie przechadzali się tam i na powrót, z tem uroczystem skupieniem, z jakim elegancki świat drugorzędnych miast korzysta ze sposobności pokazania publiczności strojów przywiezionych z zagranicy, lub przynajmniej ze stołecznego grodu. Pospółstwo przeciwnie, gromadziło się w sąsiedztwie Salonu, zalewając płócienne baraki, w których handlarze owoców obchodzili tego dnia uroczystość zwaną Wszystkich Świętych.

Widziało się tam pod wątlami dachami tych namiotów olbrzymie stosy słodkich żołądźi leśnych, wybornych kasztanów z Galarosy, pigw z Bornos, gruszek z Rondy, batatów z Malangi, które pod swą plebejuszowską lupiną kryją miąższ nieustępujący w smaku arystokratycznemu ananasowi. A wśród tłumu ulicznej gawiedzi migaly tam strojne sukienki pańskich dzieci, prowadzonych przez służące i niańki i biegnących wypróżnić swoje jedwabne woreczki u owych kramików dla zażośycuczynienia tradycyi Wszystkich Świętych. Ożywienie dosięgało kulminacyjnego punktu, tak na targu, jak w salonie, gdy wtem, z jednego końca ludzkiej fali w drugi, przebiegł jakby rodzaj lęklivego wstrząśnienia, coś nakształt tego powolnego dreszczu, jaki przebiega od stóp do głowy człowieka, zanurzającego się w ciepłą wonną kąpiel. Oto na zakręcie sąsiedniej ulicy ukazał się chłopak kościelny, w obu rękach niosący krzyż, a za nim śpiesznie szedł ksiądz w komży i fioletowej stule, z olejami świętymi na piersiach... Tłum rozsunał się z uszanowaniem, otwierając przejście duchownemu, który szybko minął Salon Królowej, wszedł w sąsiednią ulicę po drugiej stronie i zniknął we wnętrzu dosyć okazałego domu, zostawiając za sobą coś niby cień żaloby i smutku. Myśl, że tam gdzieś blisko ktoś umiera, spędziła z ust uśmiechy i przerwała na chwilę wesole rozmowy,

napelniając tłumy uczuciem tego egoistycznego lęku, jakiemu podlega człowiek na wspomnienie o tej ogólnej klęsce—jeżeli śmierć jest klęską—która dziś go oszczędziwszy, jutro spotkać go może. Wkrótce jednak plac i kramy odzyskały swój wesoły wygląd; ożywienie, wstrzymane na chwilę, popłynęło tem szerszem korytem i ci, co byli w posiadaniu życia, zapomnieli zupełnie o konającym, który je tracił, jakby każdy z nich powtarzał w duszy, wzruszając ramionami, ów pelen goryczy wykrzyknik poety:

Boleś ma ginie wśród smutku powodzi,
Jeden trup więcej — cóż to świat obchodzi?

Tymczasem ksiądz, przeszedłszy pustą werendę domu, skierował się na schody i znalazł się w pustym przedpokoju, do którego z głębi dochodziły odgłosy szybkich kroków, stłumionych jęków, stuk otwierających się i zamykających drzwi. Jakaś dama w stroju spacerowym wbiegła szybko z wyrazem przerażenia na pobladłej twarzy, z drugiej strony pojawiła się służąca, prowadząca dwoje dzieci, także jak na ulicę ubranych, które się fałd jej sukni czepiały, przytrzymując jednocześnie w rączkach owe klasyczne torebki z owocami Wszystkich Świętych. Wszystko w tym domu mówiło o jednej z tych katastrof nagłych i strasznych, jak uderzenie piorunu. Ksiądz stał chwilę, nie wiedząc, którądy ma iść dalej.

— Tędy, tędy, księżu proboszczu!—odezwał się jakiś głos stłumiony.

Duchowny skierował się w tę stronę i minawszy niewielki pokój, znalazł się w sypialni, po której rozchodziła się silna woń amoniaku. Przystanawszy na progu, wymówił święte słowa:

— *Pax huic Domui!*

Pokojowemu temu powitaniu odpowiedział przenikliwy krzyk kobiety w podeszłym wieku, którą zaplakana młoda osoba i młody również mężczyzna, bardziej przestraszony, niż wzruszony, wyprowadzali w tej chwili nawpół zemdloną drugimi drzwiami. W sypialni pozostali tylko starzec, leżący na łóżku, i młodzieniaszek blady jak śmierć, ale zupełnie spokojny. Starzec nawpół ubrany, z twarzą siną, ciemnymi plamami poznaczoną, z otwartymi ustami, leżał na łóżku, mocno ku lewej jego stronie przechylony: chrapliwe rżenie wychodziło mu z piersi, a na ręce, obnażonej wyżej łokcia, widać było ślad lanceta. Na ziemi stała miednica z zakrwawioną wodą, butelki z wodą gorącą, na umywalni wśród puszek z kosmetykami i *coldcream*'em stały dwie flaszki amoniaku i otwarta chirurgiczna szkatulka. Z boku na kanapie leżał frak wykwinowego kroju, a na konsoli wielka biała i żółta wstęga Izabeli Katolickiej i wspinała odznaka tegoż orderu, błyszcząca na aksamicie safianowego futerału.

Proboszcz zbliżył się bez wahania do umierającego i ujmując go za rękę, zawołał donośnie:

— Don Benito! Don Benito! Słyszysz mnie pan?...

Stary nic nie odpowiedział, ani nie dał żadnego znaku życia. Wówczas duchowny podniósł palcem jedną z jego powiek i uważnie przyjrzał się ukrytej pod nią szklanej źrenicy, która ani patrzyła, ani widziała.

— W porę przyszedłem!—szepnął.

I postawiwszy naczynie ze Świętymi Olejami na stole, na którym już poprzednio ustawiono dwie świece i krucyfiks, zaczął odmawiać z przejęciem modlitwy, poprzedzające ostatnie namaszczenie. Młodzieńczyk słuchał ich, stojąc bez ruchu i głosu, dopóki duchowny nie zaczął namaszczać konającego. Wówczas, nie tracąc spokoju, zbliżył się, odkrył

obnażone stopy starca, odwrócił mu ręce dłońmi i podniósł jego bezwładną głowę. Po skończeniu smutnego obrządku, duchowny zbliżył się do niego i zapytał, czy spowiednik konającego znajduje się w domu.

Młodzieniec odparł przeczącym skinieniem głowy.

— W takim razie—rzekł proboszcz—wróć natychmiast polecić duszę jego Bogu... Może żyć jeszcze kilka godzin.

Młodzieńczyk wstrząsnął znów głową w milczeniu, pochylił twarz nad poduszkami i dotykając czołem czoła starca, położył rękę na sercu, które z każdą chwilą zdawało się uderzać słabiej i krócej. Ksiądz odszedł z wolna, nie przeprowadzony przez nikogo. Wówczas weszli różnemi drzwiami starszka i młoda dziewczyna, wystraszony mężczyzna i przerażona dama i otoczyli łoże konającego, ciśnieć się ku niemu, jak ku źródłu wspólnej bolesti. Wszyscy płakali, nikt się jednak nie modlił.

II.

Pomimo wszystkiego, przewidywany prawie koniec nie nastąpił. Śmierć, jakby wzruszona łzami niepokieszonej małżonki i zrozpaczonych dzieci, odstąpiła swą ofiarę, a raczej uniosła z sobą tylko połowę zdobyczy. Bo tylko połowa ciała Don Benito Morales powróciła do życia; druga połowa od owego nagłego ataku pozostała zupełnie sparaliżowaną. Niktby nie był poznał dawnego eleganckiego starca, który trawił godziny na fryzowaniu peruki, czernieniu brwi i farbowaniu bródki à la Coradino, w owym szkielecie, owiniętym w kołdry i flanele, który po piętnastu dniach choroby wywłócił się z łóżka, ażeby zagrzebać się w fotelu przy kominkowym ciepłe, smutny, znękany fizycznie, pogrążony w owej moralnej martwocie, z jaką czująca blizkie sąsiedztwo śmierci dusza patrzy na wszystko, co ziemskie. Bo śmierć, cofnąwszy się, nie da za wygraną. Zwołani

na konsylium wszyscy najlepsi lekarze, jacy byli pod ręką, zgadzali się jednomyślnie w zdaniu, że drugi atak długo na siebie czekać nie da, że będzie również nagły, jak poprzedni, i że tym razem don Benito nie wybieży się od śmierci. Straszny ten wyrok pogrążył w nieutulonym żalu całą tę rodzinę, kochającą się miłością szczerą i głęboką, ale tak nawskroś ziemską, tak pozbawioną wszelkich duchowych pierwiastków, że możnaby ją nazwać pogańską; miłością, że się tak wyrażę, molekularną, polegającą na wzajemnym ciężeniu ku sobie komórek, a nie duchów.

Na domowego lekarza spaść przykry obowiązek oznajmienia wyniku konsylium rodzinie, która oczekiwiała nań, zgromadzona w sąsiednim pokoju. Była więc naprzód pani Morales, słodziutka i ugrzecznioma donna Tula, którą jej zięć, Sancho Ortis, określał w następujący sposób:

— Moja teściowa, to konfitura z pieprzu. Połóż ją zlekka, zda się sam cukier, ale nagryź trochę, a spali ci podniebienie.

Był tam i ów Sancho Ortis we własnej osobie, piękny jak Antinous, strojny jak Torrero, którego zarobliwie obejście się, swobodne i niedbale zarazem, czyniło jednocześnie miłym i nieznośnym, sympatycznym i odpychającym. Tuż obok niego siedziała jego żona, Benita, rodzona córka donny Tuli, piękna i rozkochana w swoim mężu, jakby pierwszego dnia po ślubie i będąca żywym zaprzeczeniem twierdzenia, iż małżeństwo jest grobem miłości. Dalej, przytulona do matki, siedziała Lolita najstarsza z rodzeństwa, niezamężna, oszpecona podwójnymi przednimi zębami, gdyż matka nie chciała się zgodzić na to, aby jej w dzieciństwie ten nadmiar przyrodzonego bogactwa szczęk usunięto. Wreszcie, w głębi pokoju, ze skrzyżowanymi rękoma i schyloną głową czekał również poważny i milczący Lorenzo, jedyny mążki potomek domu Moralesów, którego widzieliśmy już

przy łożu konającego ojca. Usłyszawszy okrutny wyrok luminarzy medycznej wiedzy, donna Tula zaczęła płakać głośno, nazywając doktorów osłami i głupcami, którzy nie umieją wyleczyć jej męża z tego, co jej, nawykłej widzieć tylko to, co odpowiadało jej życzeniu, wydawało się przejściowym reumatyzmem. Córki towarzyszyły jej w łzach i lamentach, wstrzymując się wszelako od epitatów dla niefortunnych synów Hipokratesa. Lorenzo oparł łokcie na stole, przy którym siedział, i ukrył pobladłą twarz w dłońiach. Sancho Ortis nic nie rzekł: spojrzął w sufit i podrapał się w głowę. Donna Tula rozżalona i rozłoszczona, zaczęła mówić o kąpielach, natryskach, masażu i zawracać głowę oszołomionemu lekarzowi wszelkimi możliwymi i niemożliwymi lekarstwami, jakie jej się na pamięć nasunęły, aż ten znudzony i dotknięty pożegnał się i wyszedł. Wówczas Sancho Ortis, zakładając nogę na nogę, rzekł ze swą zwykłą szorstką otwartością:

— Nie trudź się napróżno, droga pani... Jeżeli ma umrzeć niespodzianie, najlepiej jest dać znać proboszczowi, aby go na drogę wieczności przygotował, jak dla porządnego chrześcianina przystało.

Usłyszawszy to, Benita wzdrygnęła się i zasłoniła twarz chusteczką, Lolita rzuciła się, szlochając, w objęcia matki, Lorenzo podniósł czoło i popatrzył gniewnie na szwagra, a donna Tula, z roziskrzonymi oczyma i drżąca cała, wykrzyknęła:

— Cicho bądź, heretyku! Czy chcesz go zamordować? Wszyscy wiedzą, że nie masz za grosz serca!... że nie jesteś krwią jego!

Sancho Ortis zerwał się błądzą z gniewu, pochwyił za kapelusz i wyszedł z pokoju, mówiąc:

— A róbcie sobie, co chcecie! Dla mnie może on umrzeć, kiedy mu się podoba, byleście mi dali święty spokój!

Donna Tula rozplynęła się wtedy cała w ubolewaniach nad swoim nieszczęśliwym mężem i narzekaniach na swego gburowatego zięcia; w wycieczkach przeciwko głupocie doktorów i panien, zawierających małżeństwa wbrew woli swych matek Benita wystąpiła z obroną męża, Lolita poparła matkę i sprzeczka byłaby się zaostrzała coraz bardziej, gdyby Lorenzo nie przeciął jej odrazu, proponując sprowadzenie z Sewilli słynnego doktora, Nikodemesa Perolejos.

Tymczasem Sancho, wściekły na swoją teściową, skierował się w stronę Kasyna i wszedł do czytelnicy, gdzie kilku starszych panów otoczyło go natychmiast, wypytując z zajęciem o biednego don Benita.

— Przegrana sprawa, przegrana sprawa! — odpowiedział Sancho, rozwijając „Imparciala” — Bóg zabiera mi teścia, a szatan zostawia teściową.

— Ale czy nie jest gorzej?

— Jakiego tu „gorzej” żądać nad to, co jest? Zwołaliśmy dziś konsylium i doktorzy orzekli, że drugiego ataku tylko co patrzeć, a wtedy bywaj zdrów.

— Może don Nikodemes...

— Żaden don Nikodemes umarłego nie wskrzesi... Niema innej rady, tylko pochować go i wyrzucić na kamieniu to portugalskie epitafium:

Tu spoczywa Vasco Figueira,
Zmarły wbrew swojej woli.

— A rodzina wie już o tem?

— Czy wie? Taka na mnie burza powstała za to, że chciałem wezwać proboszcza, aby go na śmierć przygotował, że gdybym nie był umknął, moja naj-

droższa teściowa byłaby wydrapała mi oczy! Oh! to jęzda dopiero!

— Widzisz, don Sancho... Oni go tak kochają!

— Cóż ztąd, że go kochają? Tembardziej powinni dbać o jego duszę.

— Chodzi im zapewne o to, ażeby się biedak nie przestraszył.

— Co za głupstwo! Przestraszy się bardziej, gdy go z kwitkiem od bram rajy odprawią, jeżeli się tu o paszport nie postara.

— No, no! — odezwał się ironicznie jakiś jego-ność, który dotąd siedział zdaleka, czytając gazety. — Czyżby się nasz Sanchito na neo-katolika kierował?

— Jaki neo? jaki dyabeł? — odparł Sancho z gniewem. — Ja sobie z tego wszystkiego drwię, ale chcę, żeby czyny odpowiadały zasadom. Jeżeli umiera chrześcianin, niech mu zawołają proboszcza, jeżeli umiera Egipcjanin, niech mu przyprowadzą krowę. Jedno warte sześć, a drugie pół tuzina... Ale takiej pobożności nie rozumiem: biją się w piersi, aż jęczy, klepią pacierze, a gdy śmierć się zbliża, boją się księdza. Do licha! Jeżeli wierzą, czemu nie czynią. A jeżeli nie czynią, co u dyabła warta ich wiara?

III.

Don Nikodemes Perolejos powrócił do Sewilli, odstępując zarówno Don Benita, i wówczas rodzina jego straciła resztę nadziei, wyczerpując wszystkie usi-

lowania na wzmocnienie tej wątłej nitki, na jakiej wisiało to ukochane życie, starając się złagodzić jego fizyczne dolegliwości i oszczędzić mu moralnych wstrząśnień, mogących mu koniec przyspieszyć.

Ukryto przed chorym stan jego beznadziejny, wmawiając w niego, że jest to tylko przejściowy reumatyzm i, że nadchodząca wiosna i pobyt u wód wyleczą go zupełnie.

Donna Tula nie odstępowała go ani na chwilę, a siedząc u stóp jego na niskim stołeczku, oganiała go od much i obsypywała pieśczołami, istny obraz wzorowej małżonki. A gdy wyszedłszy z pokoju chorego, gdzie panowała ciągle wiosenna temperatura, znalazła się sama ze swemi równie przygnębionemi dziećmi, boleść jej była tak wielką, tak szczerą i tak głośną, że wyglądała, jak prawdziwa wdowa malabarska, przygotowana na spalenie się żywcem na grobie swego małżonka.

Ktokolwiek z pokoju chorego przechodził do reszty mieszkania, doznawał takiego wrażenia, jak gdyby z neapolitańskiej wiosny przeniesiono go nagle w samo serce lapońskiej zimy, tak wszystko tam było głucho, zimne, puste. Co się zaś tyczy starań i ostrożności, jakimi otoczono don Benita, to te były tak przesadzone i zbyt liczne, aż się wydawały śmiesznymi.

Ulicę wysłano słomą, aby turkot powozów nie raził uszu chorego; dzwonom poobwijano serca wata; drzwi obracały się na przesyconych oliwą zawiasach; służba chodziła w gumowych pantoflach, żeby nie robić hałasu; a szwajcar w *patio* na straży stojący, zbliżał się również na palcach i przemawiał szeptem do mnóstwa osób, które codziennie zapisywały swoje nazwiska na papierze, noszącym w nagłówku biuletyn o stanie chorego, którym całe miasto się zajmowało. Trzeba wiedzieć bowiem, iż pierwsza ta wizyta śmierci zaskoczyła don Benita na

pedestale jednej z tych bezimiennych reputacji, o których nikt nie wie, z kąd się wzięły i na czym się opierają, ale które służą swym wybrańcom za dostateczny powód do podawania ręki zwyczajnym śmiertelnikom z tą poufałą zrozumiałością, zdająca się brać do siebie słowa poety: „Przyjaźń wielkiego człowieka jest przywilejem bogów.“

Don Benito był wistocie jednym z tych prowincjonalnych luminarzy, ojców narodu na swoją parafię, sławetnych obywateli, nadających przy końcu życia nazwisko swoje ulicy, przy której umierają, i znajdujących zawsze w redakcyi miejscowego dziennika jakiegoś Plutarcha, który z oczyma z łez jeszcze nie obeschłemi pisze ich życiorysy na karcie historii żałobną krepą pokrytej.

Don Benito był dziekanem Stowarzyszenia Adwokatów, był sześć razy alkadem, dwa razy deputowanym, raz gubernatorem *ad interim*, zawsze prezesem różnych posiedzeń filantropijnych i zawsze również obrońcą publicznego porządku, apostołem tolerancyi i sumiennym stróżem poszanowania dla czynów społecznych, na które, według jego wyrażenia, rozsądek przejęty zgrozą radził gęstą zarzucać zasłonę...

— Porządek przedewszystkiem — mawiał ten przykładny obywatel, gdy się coś dokoła niego zawichrzyło; a że porządkiem podług niego było to, co brało górę, a nieporządkiem, co szło na dół, wynikało ztąd, że biorąc zawsze stronę porządku, nigdy jakoś własnej skóry nie narażał.

— Tolerancya przedewszystkiem! Nie podniecajmy namiętności! — wołał z namaszczeniem, gdy bezbożność deptała religię, rewolucya podkopywała tron, a złodzieje, przy biurkach urzędniczych siedzący, rozkradali grosz publiczny.

Raz jeden tylko zaprotestował, raz jeden tylko nie zarzucił gęstej zasłony na czyn dokonany, lecz owszem, wywłócił go na wstyd publiczny, a było to wtedy, kiedy andaluzyjscy federaliści podnieśli głowy, spalili mu dom i zniszczyli dwie winnice. Wówczas don Benito poleciał do Madrytu, tego źródła publicznego porządku, i dopóty krzyczał, narzekał i intrygował, dopóki nie wynagrodzono mu szkód poniesionych, nie oddano pod sąd trzech federalistów i nie mianowano go nadto, jako zabezpieczenie przeciw dalszym tym podobnym niespodziankom, wicekonsulem stanów Nikaraguy, z prawem podniesienia we wszystkich swych posiadłościach, za najłżejszym sygnałem nieporządku, owej trójkolorowej flagi, jakiej jemu jednemu używała łączna nienaruszalność trzystu pięćdziesięciu tysięcy Nikaraguałów i Nikaraguajek.

I miał świętą rację don Benito, gdyż surowość jego pojęć i siła jego rozumowania dwóm tylko rzeczom stawiały bezwzględny opór; z dwiema rzeczami tylko nie wchodziły w żadne kompromisy: z demagogią czerwoną i demagogią białą! Nie! odkąd tylko wyniesiono go na godność konsula, wszystko wydawało mu się znośniejszem i — zapewniał o tem z ręką na sercu — wszystko! raczej stać się tysiąc razy ofiarą czerwonych, niż rzucić się bodaj raz w objęcia białych... Ho! ho! znał on ich wybornie! Alboż nie widział raz na własne oczy w dwudziestym trzecim roku obnoszonych publicznie na desce uszu liberalnego literata, obciętych ich prawowitemu właścicielowi przez służalców, dzikich i okrutnych, jak szakale!...

I gdy don Benito opowiadał ów tragiczny wypadek, gdy przez jego wprawiane zęby ów wyraz szakale wychodził z pełnem grozy syczeniem, wyperfumowane kędziory jego peruki zdawały się jeżyć na jego szanownej głowie, jak gdyby mówiąc, że

tak było wistocie, że one same pamiętają, jak stawały dęba w owym czasie, słysząc śpiewaną ową ponurą piosenkę, zwaną „Pitita”:

Petita, bonita
Con el pio, pio, pon
Vivan Fernando
Y la Inquisicion!

I wszyscy go słuchali z przejęciem i głęboką wiarą, bo don Benito nie był człowiekiem namiętności, lecz zdrowego rozsądku, nie był człowiekiem wyrachowań, lecz przekonana, przekonana grunto-wnych, do których doszedł zwolna, krok za krokiem, wspierany doświadczeniem, nieszczęściami, głęboką znajomością ludzi i życia.

Niegdyś, w młodości, gdy nie miał grosza w kieszeni i pracował jako dependent w kancelaryi pokątnego adwokata, pojęcia jego były jaskrawszymi od najbardziej jaskrawych socjalistów dzisiejszych czasów. Potem, gdy został ogólnym spadkobiercą milionowego stryja, zbogaconego na sprzedaży dóbr kościelnych, jego przekonania polityczne przybrały kierunek zachowawczy, a pojęcia religijne zabarwiły się drwiącym wolteryjskim kolorytem. Później jeszcze, gdy kościół potwierdził konkordat z 1851 roku, zabezpieczający kieszenie owych świętokradców, owym słynnym paragrafem *non sunt inquietandi*, w piersiach don Benita zrodziła się tkliwa i uległa miłość dla papieżkiego tronu: w domu jego zaczęto obserwować posty i wigilie, on sam chodził na czterdziestogodzinne nabożeństwa, odmawiał różańce, rozdawał jałmużnę biednym, ustawionym w szeregu, jak pluton żołnierzy, przed drzwiami jego domu. Nikt jednak wśród całej tej pobożności nie wiedział, kto był jego spowiednikiem.

I czego więcej brakowało don Benitowi do uzupełnienia czary jego ziemskiej pomyślności? Oto zawiązać stosunek z jaką z arystokratycznych rodzin w okolicy, które patrzyły na niego przez ramię, pomnąc na akty, przepisywane u pokątnego adwokata. W tym celu wydał córkę swą Benitę za Sancho Ortiz de Los Pinares, potomka jednego z najstarszych feudalnych rodów.

Brak mu jeszcze było także jakiejś wstęgi honorowej, która przepasywałaby jego wykrochmaloną pierś, gdy w galowym stroju, wyprostowany i giętki, pomimo swych siedemdziesięciu lat, towarzyszył ze świecą w ręku procesyi Bożego Narodzenia, lub obchodził stacye w Wielki Czwartek. Jakoż, na skutek różnych poruszanych sprężyn i pieniężnych kombinacyj, wspaniałomyślność królewska udarowała go wreszcie wielkim krzyżem Izabelli Katolickiej. O dniu szczęśliwy! *Albo diez notanda lapillo!*

Brak mu już teraz nie pozostawało, tylko usunąć się w domowe zacisze i uczyć czytać swoje wnuczeta, na podobieństwo Dyonizjusza Syrakuzaniego, który, podyktowawszy prawa Sycylii, dokonał żywota na uczeniu korynckich dzieci. Tak, mógł teraz spokojnie zstąpić do grobu ze swą wstęgą na piersiach, mówiąc do potomności: *Plaudite, cives!*

Tymczasem, przez jedną z tych okrutnych ironij losu, w jaką się czasem przeznaczenie zabawia, w trzy dni po otrzymaniu królewskiego podarunku, który wprowadzał go w zazarowane sfery ekscelencyi, w tę samą chwilę, kiedy po raz pierwszy miał się przepasać upragnioną białą i żółtą wstęgą, aby wziąć udział w bankiecie, na jaki go gubernator zaprosił, don Benito wydał krzyk przeraźliwy i padł w objęcia donny Tuli, wiążącej mu biały krawat, padł dotknięty palcem śmierci, przeobrażony w jednej chwili w bezwładną, litość budzącą bryłę.

I starożytni wierzyli, że laurowy wieniec zabezpieczał od uderzeń piorunu!

IV.

Tkliwe serce donny Tuli wynalazło całą litanie pieszczotliwych przezwisk i słodkich skrótów dla wszystkich członków rodziny. Wskutek tego don Benito nazywał się Beni, Lolita—Li, Lorenzo—Renzo, a Benita Nita; a gdy Sancho Ortiz powiększył rodzinne grono, czułe usta teściowej dopóty męczyły się nad zestawieniem sylab z cierpliwością filologa, poszukującego źródłosłowu jakiego greckiego wyrazu, dopóki z Sancha nie przerobiła go na Sanchita, z Sanchita na Sanchina, a z Sanchina na Chica ¹⁾.

— Boże! a cóż to za ckliwa niewiasta!—zawyrokował nieczuły na te sentymety Sancho. — Gdy ją słyszę mówiącą, zdaje się, że piję lukrecyę, ząprawioną lojem.

I ztąd powstała pomiędzy nimi ta głęboka nienawiść charta i zająca, nieustająca wojna kota z myszą, jaka jest częstem zjawiskiem pomiędzy teściową i zięciem.

Już w tydzień po ślubie, gdy pewnej niedzieli Sancho obiadował u swoich teściów, donna Tula, podając mu talerz zupy, odezwała się swoim głosem słodkiej turkawki:

— Chico, Chichito, czy chcesz pasztecików, czy grzaneczek?

¹⁾ „Chico“ znaczy malec.

Chichito przygryzł wargi i chciał już odpowiedzieć: „co u licha”, ale powstrzymał się szczęśliwie i rzekł tylko sucho:

— Tylko bez przydomków, proszę pani...

Donna Tula stanęła z otwartymi ustami i wazową srebrną łyżką w ręce; odrzekła jednak z większą jeszcze cukierkowatością:

— Ale, syneczku, to nie przydomek żaden, to tak z kochania...

— Więc niech mnie pani tak bardzo nie kocha!

— Oj ty, dzieciaku, choćbyś nie chciał, będę cię kochała i zawsze będziesz dla mnie moim Chico, moim Chichinito.

— Posłuchajże pani! — odparł Sancho z gniewem prawdziwego dzieciaka. — Jeżeli mi pani raz jeszcze powiesz Chico...

I tu zatrzymał się chwilę, aby wymyślić odpowiednie przewisko dla tej drobnej i pomarszczonej damy, poczem z tą barwnością andaluzyjskich wyrażań, jaka mu była właściwą, dokończył poważnie:

— Ja będę panią nazywał donną Naprzykrzalską.

Donna Naprzykrzalska uczuła, że ma coś wcale nie cukierkowatego na końcu języka i wazowa łyżka zadrżała jej w ręce jakimś niebezpiecznym ruchem. Powściągnęła się jednak i, nic nie odrzekłszy, zabrała się do jedzenia zupy z płacziwą, melancholijną miną skrzywdzonej Dydony. Od tego czasu Sancho na zawsze pozostał Sanchem, a donna Tula na zawsze pozostała donną Naprzykrzalską; przydomek ten dostał się jakoś do służby, obiegł miasto i znalazł wielkie powodzenie.

Wkrótce potem nowa sprzeczka zaostrzyła bardziej jeszcze stosunki pomiędzy donną Tulą a jej zięciem. Sancho nazywał ją pro prostu teściową.

Donna Tula uważała tę nazwę jako niedostatecznie serdeczną, a zbyt trywialną, właściwą tylko u pospólstwa, i żądała, by jej mówił: mamó.

— Nie, pani! — odparł Sancho z uporem kapryśnego dziecka. — Pani jesteś moją teściową, a ja jestem pani zięciem.

— Nie, mój drogi — zaprzeczyła donna Tula. — Jestem matką twojej żony i powinienesz mnie nazywać tak samo, jak ona.

— Na całym świecie matka żony nazywa się teściową! Nawet Pismo Święte powiada, że święty Piotr miał teściowę, która się nazywała — Matko Pocieszenia, ratuj nas — *Perpetua!* (wieczysta).

— Rób, jak chcesz! — rzekła donna Tula, wpadając w ton patetyczny — ale jest mi to bardzo bolesne, że odmawiasz mi słodkiego imienia matki!

— Matki! — powtórzył Sancho z pewną goryczą. — Matkę ma się tylko jedną w życiu, a moja mi już ziemia zjadła!

— A czyż ja ci jej nie mogę zastąpić? Dla mnie ty zawsze będziesz synem przybranym.

— A pani dla mnie matką „nie wziętą.”

I Sancho, przebierając po przecikach wachlarza swej żony, jakby po strunach gitary, zaśpiewał tonem żalonym:

Nie przejmuję mnie zazdrością
Żywot Adamowy,
Ale tego mu zazdroszczę,
Że nie miał teściowej.

Don Benito zaśmiał się z tego, jak zwykły śmiertelnik, bo wszystko to, co mówił jego zięć, przypadło mu do smaku, i rzecz pozostała w zawieszaniu, ale wkrótce potem, gdy Sancho przyszedł do

domu swoich teściów podczas odwiedzin kilku pań mu nieznanym, donna Tula przedstawiła go, mówiąc swym hamletowym głosem:

— Sanchito Ortiz, mój syn przybrany.

A Sancho, złożony im pełen elegancyi i właściciwego mu wdzięku ukłon, rzekł, wskazując ręką na nieszczęsną donnę Naprzykrzalską i naśladując jej miódowy tonik:

— Tulita Gomez, moja matka nie wzięta!

Panie parsknęły śmiechem, a donna Tula, doprowadzona do ostatniej pasyi, zwołała radę familijną i zażądała zamknięcia na zawsze drzwi rodzicielskiego domu wyrodnemu zięciowi. Ale don Benito ze zwykłą swą tolerancją powiedział, że każdy na świecie ma swoje usposobienie i Sancho ma też swoje, i zapuścił gęstą zasłonę swego rozsądku na ten fakt dokonany, pozostawiając donnę Tulę trzęsącą się ze złości, a Sancha, pokładającego się ze śmiechu.

Pobita tak na całej linii donna Naprzykrzalska, dała za wygraną, ale nie przestała patrzeć na swego przybranego syna okiem słodkiej kotki, mającej zawsze w pogotowiu dobrze zaostrzony pazurek.

Choroba don Benita naprężyła jeszcze bardziej ten przykry stosunek. Z donną Tulą i jej dziećmi stało się to, co się dzieje zwykle z tymi, którzy myślą zanadto o zapobieżeniu niebezpieczeństwa i w końcu tak się z niem oswajają, że traci już ono dla nich swą doniosłość.

Wmawiając ufność w chorego, wmówili ją w samych siebie i zaczęli tworzyć plany na przyszłość, jak gdyby zapowiedziana katastrofa nie istniała, lub przynajmniej była gdzieś bardzo daleko.

Sancho tylko, spełniając rolę domowej Kassandry, przypominał na każdym kroku niebezpieczeństwo, nietyle przez troskliwość o teścia, ile dla satysfakcyi dokuczania tem teściowej.

Miała ona zamiar przewieźć chorego, jak się tylko trochę ociepli, do pięknej zamiejskiej posiadłości, zwanej El Paraiso (Raj), a będącej ich własnością.

Dowiedziawszy się o tem, Sancho ruszył ramionami i rzekł:

— Do Raju? hm! Bliżej mu będzie zatrzymać się w Czyściu.

— Proszę cię, daj pokój tym niesmacznym konceptom!—krzyknęła donna Tula.—Przypominasz mi błazna cyrkowego. Ach! skoro lekarze nie umieją go wyleczyć, Bóg miłosierny wysłucha naszych modłów i uczyni cud...

— Tak, tak, czekajcie cudu i śpijcie spokojnie.

— Nie przestajemy dlatego czuwać! Czuwamy nad każdym jego tchnieniem, a Bóg czuwa nad nami wszystkimi; boć nawet lichych ptaszków nie wypuszcza ze swej pieczy.

— Właśnie... I dlatego mają one takie tłuste łydki!

— Jesteś bezbożnikiem, Sancho! Nie masz ani bojaźni Bożej, ani wiary, ani nadziei. Benita zbyt wielki byłby brak na świecie, żeby go Bóg nam zabierał: człowieka tak potrzebnego, tak prawego, tak świętego!

I donna Tula zaczęła szlochać, a Sancho, ruszywszy znów ramionami, wyszedł z pokoju.

Pomyślano w końcu o przyprowadzeniu don Benitowi jego dwojga wnucząt, aby mógł ich w dalszym ciągu uczyć czytać, co było dla niego najmilszą rozrywką, rozpoczętą na krótko przed owym fatalnym atakiem. Dzieci przyjęły tę wiadomość z uniesieniem radości, pomne na smażone w cukrze migdałki i inne łakocie, jakie wpadały im do buzi z hojnej ręki dziadka, ilekroć udało im się szczęśliwie nie wziąć litery *a* za literę *z*, gdyż don Benito, konse-

kwentny w swoich pojęciach i czynach, gruntował swój system nauczania na najbardziej ojcowskiej pobłażliwości.

Oczekiwał więc teraz niecierpliwie swoich małych uczniów, siedząc nieruchomo w fotelu i mając u stóp swoich nieodstępną donnę Tulę. Na stołeczku obok leżały dwie ładnie oprawne książeczki z obrazkami, które, jako zachętę do dalszych kroków po ciernistej drodze wiedzy, zamierzał подарować malcom.

Dzieci, wchodząc, wymknęły się z rąk prowadzącej je matki i pobiegły pędem do dziadka, którego nie widziały od owego nieszczęsnego dnia Wszystkich Świętych... Ale już na środku pokoju zatrzymały się, jak gdyby drobne ich stopki wrosły nagle w posadzkę; na ślicznych ich twarzyczkach odmalowało się zdumienie i przestrasz... Zamiast rzeźwego dziadunia, którego znały, oczom ich ukazał się stos kołder i szalów, z których wychylała się twarz trupia, w czarnej czapeczce na łysej głowie, bezzębna, z wyblakłymi brwiami i brodą nieufarbowaną, białą przy szczękach, żółtą pośrodku, a czarną tylko na końcach.

Don Benito wyciągnął ku nim swą wychudłą, trzęsącą się dłoń i otworzył usta, aby je zawołać, ale dzieci frunęły, jak spłoszone ptaszęta, i ukryły twarzyczki w fałdach matczynej sukni.

Wówczas nieszczęsny starzec uczuł, że tam w głębi duszy ucieka mu coś błędnego i pogodnego, coś jakby nadzieja życia, a zostaje coś innego, coś, co było chłodne i smutne, jak świeżo wykopany grób.

Nagły przestrasz dzieci odślonił mu raptem straszliwą zmianę, jaka w nim zaszła, i pobożne kłamstwa, jakich był przedmiotem; a te małe aniołki, które uciekały od niego, rozminęły się w jego wyobraźni z zimnym aniołem, który się do niego zbliżał: z aniołem śmierci.

Zrozumiał to don Benito i zaczął płakać rozpaczliwie.

Przeżrana donna Tula chciała naprawić jako tako złe, które się stało, domagając się od dzieci, aby uściskały dziadka.

Ale malcy uczepili się, szlochając, szyi matki i żadne perswazyje i obietnice nakłonić ich do tego nie mogły. Wreszcie młodszy, który jeszcze sześciu lat nie skończył, podniósł wolno głowę, rzucił ukradkowe spojrzenie na stronę dziadka i ukrył ją wnet przestraszony na łonie matki, szepcząc cichutko:

— Jaki brzydki! Boję się go!...

V.

Cios ten, którego nikt przewidzieć nie mógł, wymierzony niewinnymi rączkami dzieci, przygnębił straszliwie don Benito. Nazajutrz nie chciał wstać z łóżka, a gdy rodzina zgromadziła się dokoła niego przeżrana, przyjął wszystkich w milczeniu, wylewając łzy obite.

Nie wiedząc, jak go utulić, chciano znów przeprowadzić mu wnuczęta, w nadziei, że lepiej już przygotowane, same ulecą ranę, którą zadały. Ale don Benito nie chciał ich widzieć i pozostał dzień cały pogrążony w rodzaju niespokojnego letargu.

Nadszedł wieczór, przynosząc z sobą ten smutek śmiertelny, jaki chorym i zbolałym sprawia zachód słońca. Szary zmrok zwolna napełniał pokój chorego, który leżał bez ruchu, wzdychając tylko od czasu do czasu.

Donna Tula siedziała w fotelu przy łóżku, pła-

cząc pocichu i przesuając w palcach ziarnka różańca.

W sąsiednim gabinecie zgromadziły się dzieci, nie śmiąc wchodzić do ojca, aby go nie przestraszać swą ciągłą obecnością.

Nagle w ciszy sypialni rozległ się słaby, jękliwy głos chorego. Donna Tula zerwała się z siedzenia i pochyliła nad nim.

— Co ci jest, koteczku!—rzekła pieszczotliwie.— Co to znaczy?

— Żle ze mną, Tulo!—odparł don Benito płaczliwie.

Donna Tula osunęła się na łóżko i przytulając swą twarz do twarzy męża, zapytała z trwogą:

— Czy ci gorzej, moje życie? Czy chcesz, żebym poszła po doktora?

— Nie, nie. Mnie oszukują, Tulo! Ze mną jest źle bardzo, a kryją to przedemną, oszukują mnie.

— Beni, życie moje, co ty wygadujesz! Któżby cię miał oszukiwać? Ja, duszeńko? Twoje dzieci? Co za myśl! Kiedy tobie nic nie jest... Nic, nic! Wmawiasz coś w siebie i zabijasz się tem i nas także zabijasz... Czy nie widzisz, że wszyscy jesteście spokojni? Oto teraz Renzo pojechał konno na spacer, Li poszła do przyjaciółki i podczas, gdy dzieci się bawią i śmieją, tatko tu kona, umiera, nieprawdaż? Ot, dałbyś pokój, koteczku, tym niedorzecznościom.

Wszystkie te lamenty donna Tula wypowiedziała bez zająknięcia, czyniąc heroiczne wysiłki, aby się wydać swobodną, a głos swój do żartobliwego brzmienia nagiąć. Ale don Benito nie dał się przekonać.

— Oszukują mnie!—powtórzył—oszukują! Widziałas dzieci...

— Będziesz zważał na takich malców! Beni, przez Boga, bądź-że rozsądnym. Zobaczyły cię bez peruki, bez zębów i przestraszyły się—naturalna rzecz. Inaczej być nie może—ciągnęła dalej, rada, że może zwrócić uwagę jego na inny przedmiot.—Biedactwa! Dzieci takiego rozwyrzonego ojca. Rośnie to bez żadnego przykładu, bez żadnego wychowania, jak trawa przy drodze... Zwracałam już na to uwagę Nitę i koniecznie potrzeba, abyś o tem seryo z Sanchem pomówił. Należy się tym dzieciom jakiś kierunek, Benito potrzebuje bony Angielki, a Sanchillo kapelana, bo o postaniu ich do szkół niema co myśleć. Byłoby to okrucieństwem. Anioleczi kochanie! Ja się w to nie mieszam i cobądź mówią o ojcach Jezuitach, nie uprzedzam się przeciwko nim... Owszem, jestem przekonana, żeby ich ślicznie wychowali, doskonale uczyli... Ale wyobraź sobie, co mi mówiła Marya Perez, że dzieciom nie dają mięsa na drugie śniadanie, ani befsztyczku, ani kotlecików, tylko kawę białą lub czekoladę... Proszę cię! A prócz tego brakby im było ciepła rodzinnego, pieszczot... Nie, nie, niema co myśleć o tem. Co mówisz, najdroższy? Milczysz?

I przerażona znów pochyliła się nad twarzą męża, której już dobrze w ciemności rozróżnić nie mogła. Wówczas ujrzała oczy jego szeroko otwarte i osłupiałe, i usłyszała głos drżący i pełen bólu, który jej powiedział:

— Tulo, ja się chcę wypowiadać!
Donna Tula zdrętwiała.

— Co mówisz? Co ty mówisz, życie moje! Czyś przy zdrowych zmysłach? Myślisz, że już umierasz? Boże, Boże!... Co jemu w głowie?

I biedaczka zaczęła się śmiać przez łzy, a Benito, płacząc coraz rzewniej, powtórzył:

— Chcę się wypowiadać!

— Ależ, Beniciu, co ci jest? Nie widzisz, jak mnie martwisz? Nie bądź-że tak przesadnie skrupulatnym. Spowiadałeś się przecie przed dwoma tygodniami.

Bezsilna głowa Don Benita poruszyła się ciężko na poduszkach, oczy zabłysły, przeciągłe łkanie wstrząsnęło jego piersią, a z ust wyszły mu głuche i posępne te dziwne słowa, które nieszczęśliwej kobiecie wydały się jakby odbite w powietrzu ognistymi zglotkami:

— Właśnie dlatego!...

Donna Tula czuła, że kolana się pod nią uginają i musiała usiąść. W tejże chwili okropny atak nerwowy wstrząsnął bezwładnym ciałem starca i z pod stosu okrywających go kołder buchnęły rozpaczliwe jęki, łkania i spazmatyczne, urywane okrzyki.

Donna Tula straciła zupełnie głowę; zaczęła wołać o pomoc; zbiegły się wystraszone dzieci, przyniesiono światło, posłano po doktora, który przepisał uśmierzający napój i zalecił nadewszystko zupełny spokój i ciszę.

Donna Tula nie zmrużyła oka przez całą noc. Siedziała w nogach łóżka swego męża niespokojna, zamyślona, jakby snując jakieś plany i walcząc z nasuwającymi się na pamięć przeszkodami.

Wreszcie zdecydowała się. Przedewszystkiem należało jakimkolwiek sposobem otrząsnąć Don Benita z jego ponurych myśli i w tym celu, zgodnie z dziećmi, postanowiła zwołać nowe konsylium i wyszukać pomiędzy doktorami takiego, który zgodziłby się oszukać chorego, upewniając go, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi jego życiu, obiecując mu zupełny powrót do zdrowia w określonym przeciągu czasu.

Jedna tylko Benita ośmieliła się zauważyć potulnie, że niezależnie od wprowadzenia w czyn tego

planu, możnaby, korzystając z tego, iż sam Don Benito wyraził życzenie wypowiedzenia się, udzielić mu Św. Sakramentów. Ale Donna Tula, usłyszawszy to, zawrzała gniewem.

— Ależ to nie ma sensu! — wykrzyknęła. — Przecież słyszysz, że to właśnie te grobowe myśli zabijają go! Czy masz tak samo serce z kamienia, jak twój mąż?

Benita zaczęła płakać, a Donna Tula, wyczerpana fizycznie znużeniem i ciągłą moralną walką, osunęła się na fotel, mówiąc żałośnie:

— Zostaw mnie, zostaw mnie, na Boga, i nie dręcz mnie więcej, bo już i tak ciężkim jest krzyż, który dźwigam!

— Ależ, mamu, ja...

— Nie rozumieją mnie! — ciągnęła dalej Donna Tula płaczliwie. — Nie pojmują, że ludziom tak drażliwego sumienia, jak twój ojciec, nie można wspominać o takich rzeczach. Człowiek taki pobożny, taki święty! I dziś o mało nie umarł dlatego tylko, że mu się wydało, że się zbliża jego ostatnia godzina.

Zgromadziło się tedy konsylium, znalazł się, nie bez trudności, lekarz, który przystał na ową komedijkę i łatwiej przyszło, niż myślano, wmówić w Don Benito, iż życie jego nie znajduje się w niebezpieczeństwie. Ach! nic tak szybko nie opanowywa umysłu człowieka, jak to, w co uwierzyć pragnie, i nawet oko w oko z rzeczywistością umie on zawsze wynaleźć jakąś szparkę, przez którą promień nadziei wcisnąć się może.

Gdy wyszli doktorzy, zdawało się, że kamień spadł z piersi biednego starca.

— Widzisz, mój Beni! Widzisz teraz, kotku, jak cię oszukiwałam! — mówiła Donna Tula, głaszcząc pieśczośliwie zdrową rękę paralytyka.

Don Benito śmiał się i płakał jednocześnie, jak rozgrymaszone dziecko, które się wreszcie dało przekonać. Po chwili jednak objął ręką obie dłonie swojej żony i wstrząsając niemi silnie, rzekł uroczyście:

— Tak, przyrzeknij mi rzecz jedną...

— Czego żądasz, najdroższy? — spytała nastrozona znów.

Don Benito chciał przemówić, ale wzruszenie zatamowało mu głos; wreszcie, płacząc rzewnie, wyjąkał:

— Przyrzeknij mi, że gdy nadejdzie ostatnia godzina... ostrzeżesz mnie, nie dasz mi umrzeć bez pojednania z Bogiem...

— Ależ, życie moje, znów ta sama piosenka... Nie myśl o tem, zaklinam cię... Nie masz potemu żadnego powodu.

— Tak, wiem. Ale gdy przyjdzie czas.

— Alboż myślisz, że dałabym ci umrzeć bez religijnej pomocy! Tegoby tylko brakowało... Cóżby powiedzieli w całym X*, gdyby taki Don Benito Morales dał podobnie żyły przykład.

— Tulo, polegaj na tobie! Pamiętaj, że nie z jednego mam zdać rachunek.

— Zdać rachunek! — powtórzyła donna Tula z pieszczotliwą żartobliwością matki, która przygotowuje synka do pierwszej spowiedzi. — Ach, jakie to straszne będą te twoje rachunki!

Don Benito zamknął oczy i potrząsnął głową, nie odpowiedział nic, a twarz jego przybrała dziwny wyraz niepokojącego hieroglify.

— No, no, nie kłopotz się, kochanie! — ciągnęła dalej donna Tula pobłażliwie. — Przyrzekam ci to. Ale ty mi przyrzeknij także, że nie będziesz się dręczył zbyt czułym skrupułami, ani obawami... Już ja dbam o te rzeczy... Odkąd tylko zapadłeś na ten reumatyzm, odprawia się codziennie msza przed obra-

zem Matki Boskiej Pocieszenia na twoją intencję, a gdy wyzdrowiejesz, odbędzie się dziękczynna nowenna i solenne nabożeństwo, na którym będziesz obecny. Przyjedzie jeden słynny kaznodzieja i tego dnia będziesz mógł wreszcie przepasać się swoją wielką wstęgą! Ach, ty zbereżniku, jak to mi nic nie powiedział, że się o nią stara... Gdybym była na czas wiedziała, byłabym cię poprosiła, żebyś postarał się dla mnie o wstęgę Maryi Ludwiki...

Don Benito zaczął się śmiać najdობroduszniej w świecie i odpowiedział z prostotą uczciwego handlarza:

— No, ta jest o wiele droższa.

VI.

Pewnego dnia Benita nie wracała długo z domu ojca, dokąd każdego dnia szła po rannej mszy, i Sancho, którego apetyt nic na chorobie don Benita ze swej żywotności nie stracił, zawołał dzieci i kazał, aby, nie czekając na panią, podawano czekoladę. Była już godzina dziewiąta i jeść mu się bardzo chciało.

Dzieci zachwycone były tą nowością, i starszy wdrapał się zaraz na krzesło matki, mówiąc:

— Dziś ja jestem mamą.

Sanchowi myśl ta przypadła do gustu i aby malec tem lepiej odegrał rolę, włożył mu ranny czepeczek Benity, przybrany koronką i różnemi kokardami. Co za radość! Dzieci pokładały się od śmie-

chu, a młodszy, wdrapując się z kolei na krzesło ojca, oświadczył:

— A ja jestem tatkiem!

Doskonale. W jednej chwili Sancho złożył w jego rączki swą ojcowską władzę; podniósł mu do góry wywinęty, szeroki kołnierzyk bluzki i zawiązał mu, w rodzaju krawata, białą, jedwabną chusteczkę, którą, wstawszy, sam na szyję włożył.

Przepysznie! W tej chwili zaimprovizowanej mamie błysnęła nowa szczęśliwa myśl.

— Tatku! A teraz ty jesteś mną!

— Właśnie! Teraz ja jestem tobą — wykrzyknął Sancho ucieszony ogromnie.

I natychmiast nałożył na sam czubek głowy szydełkową czapeczkę Benita, związał sobie serwetkę pod brodą i wtłoczył się, jak mógł, w jedno z wysokich i wązkich krzesłek, jakie zwykle zajmowały dzieci. Głównki tych ostatnich dochodziły zaledwie do wysokości stołu, a Sancho górował nad nimi od kolan.

W tej pozycji ojciec i synowie zaczęli pić czekoladę, która im nigdy jeszcze tak nie smakowała, bo też nigdy jeszcze dzieci nie zasnęły takiej swobody przy śniadaniu i używały jej w pełni, jak się to wnet odbiło na końcach krawatki ojcowskiej i na kordach matczynej czepeczki, maczających się co chwila w filiżankach.

Wkrótce jednak wybuchła pomiędzy malcami niezgoda.

Sanchillo, zazdrosny o krawat brata, wypuścił na niego zatrutą strzałę.

— Tatko ma wąsy, a ty nie... Aha! — zawołał.

Natychmiast Sancho, ze zwykłą swą roztropnością, pośpieszył stłumić w zarodku budzące się na-

miętności. Umaczał biszkopik w czekoladzie i namalował Benitinowi przepyszne wąsy, podkreślone do góry i rozstrzępione na końcach, jak u zmarłego króla Galantuomo.

Sanchillo, widząc to, bez względu na swą prowizoryczną pleć, zaczął się domagać podobnego zaszczytu. Ale oburzony Benitino sprzeciwiał się temu otwarciu ze względów przyzwoitości.

— Mama nie ma wąsów! — zawołał.

— Ale babcia Tula ma!

— Ty nie jesteś babcią Tulą, jesteś mamą!

— Kiedy tak!

— Kiedy nie!

Dla zażegnania powtórnej braterskiej niezgody, Sancho umaczał drugi biszkopik i namalował swemu pierworodnemu wąsy i faworyty na sposób cesarza Wilhelma. Wesołość zapanowała niezmacona, i Sancho zaczął uczyć swoich synów nowego sposobu picia czekolady w sposób żonglerów malabarskich. Sposób ten polegał na rzuceniu łyżeczki napoju w powietrze i złapaniu go ustami, gdy spadała; było to nadzwyczaj zabawne.

— Raz, dwa, trzy! — zawołał Sancho i dla dania sygnału, uderzył w stół talerzem.

Trzy małe fontanny czekolady trysnęły w powietrze, zakreślając fantastyczne zygzaki i spadały wszędzie, tylko nie w otwarte na ich przyjęcia różowe dziobki malców. Tylko Sanchowi udało się pochwycić swoją.

Dzieci wyobrażały sobie, że tajemnica tej zręczności polega na jednoczesnym uderzeniu w stół talerzem; z całych więc sił naśladowały ten przykład i zdumienie ich było niepomierne, gdy delikatne, porcelanowe talerzyki rozprysnęły się na drobne kawałki. Wydało im się to czemś zgoła nadzwyczajnym.

W tej chwili weszła Benita i widok, jaki jej się przedstawił, widok tych trzech ukochanych istot, tak rozbawionych i szczęśliwych, napelnił jej serce uczuciem nieopisanej błogości, tej szczerzej błogości, która oczy łzami napelnia i w jednej sekundzie wynagradza kobiecie wszystkie jej troski i udręczenia żony i matki.

Nciała jednakże przywrócić porządek domowy, a przynajmniej utrzymać jego powagę i zaczęła niby to gniewać się, nie mogąc się powstrzymać od łez i śmiechu.

— Co się to znaczy? Co wy tu wyprawiacie? Boże miłosierny! Coście z sobą porobili!... A ojciec najgorszy ze wszystkich!...

Sancho zerwał się z miejsca, nie mogąc uwolnić się od wazkiego krzeselka, które mu się w biodra wcisnęło, i rzucił się na kolana przed Benitą, wołając:

— Pseplasam, pseplasam. Już nigdy nie będę!

— Boże, Boże! — wołała Benita, śmiejąc się i płacząc. — Co oni ze swemi bluzkami porobili!... Dziś świeżutkie wzięli... A mój czepeczek!... Panno święta! w jakim stanie! Cóż to za człowiek! Pięknych rzeczy ich uczynił! należałoby cię zamknąć!

Słyszając, że możnaby zamknąć tatkę, malcy stanęli natychmiast po stronie matki i zaczęły krzyczeć, klaszcząc w ręce:

— Zamknąć tatkę, zamknąć tatkę!

— Mnie zamknąć? — krzyknął Sancho, zrywając się z ziemi, jak piłka — *civis romanum sum!* To mamę trzeba zamknąć w ptaszarni! Hola! do ptaszarni!

I porwawszy Benitę w swe silne ramiona, jak gdyby była piórkiem, zaczął z nią biedz przez galerię do oszklonego pawiloniku, w którym jakaś setka kanarków żyła, śpiewała i mnożyła się.

Dzieci, skacząc i wrzeszcząc z radości, puściły się za nimi, a za dziećmi dwa psy domowe, nie mniej uszczęśliwione zaimprovizowaną gonitwą.

Zrobiła się wesola wrzawa, służba gromadziła się we drzwiach i w oknach, mówiąc pomiędzy sobą wśród śmiechów i okrzyków:

— Co też ten nasz pan wyrabia! Co to za humor złoty! A nasza pani! Istny aniołek!.. Niechże ich Bóg błogosławi. Niech się sobą cieszą jak najdłużej!

Benita przymknęła oczy, żeby tem lepiej napawać się rozkoszą tulenia się w te ukochane ramiona, patrzenia na te skaczące z radości, czekoladą umalowane dzieciaki i słyszenia błogosławieństw wiernych domowników, świadków jej domowego szczęścia.

Ale w tejże samej chwili stanął jej w pamięci ponury obraz, jaki w rodzicielskim domu została; kropla goryczy padła w czarę jej szczęśliwości i młoda kobieta wybuchnęła nagle płaczem.

— Co tobie jest? — zawołał Sancho, przestraszony, zatrzymując się nagle.

Benita przyłożyła usta do ucha męża i szepnęła płacząc:

— Tatko umiera... a mama w żaden sposób nie da się namówić, żeby wezwać proboszcza.

Sancho zaczął biedz znów, bo już dzieci i psy dosięgały ich i wpadły do ptaszarni, zamknął ją z wewnątrz ku wielkiemu oburzeniu i rozczarowaniu rozigranej gromadki.

Ach! z jakąż radością powiedzielibyśmy teraz, że znalazłszy się sam na sam, młodzi małżonkowie zakosztowali świętego zespolenia się dusz, które zwały się w jedno, aby wziąć udział w tej samej boleści, jak się pławiły w tem samem szczęściu! Ale niestety, rzadko się to zdarza na świecie i nie zdarzyło się i tu.

Egoizm bywa zwykle silniejszym, niż miłość, i różność interesów, jakie on budzi rozdziela serca, przeznaczone do zupełnej jedności, i wytwarza pomiędzy tymi, którzy się kochają, ten dziwny rozdźwięk, który rozgranicza, nie przestając łączyć, ten łańcuch zbiorowy, naprzemiany jakby ze złotych i żelaznych ogniw, z czystych rozkoszy i pospolitych niezadowolnień, ten stygmat ziemskości, jaki słą kładzie na wszystkich uczuciach ludzkich, zaprawiając każdy szlachetny i szczytny poryw domieszką marnego, doczesnego prochu.

Benita rzuciła się na ogrodowe krzesło, stojące pod gniazdkami, i płacząc, opowiedziała mężowi swą rozmowę z matką.

Sancho słuchał jej uważnie, i mając jeszcze na głowie szydełkową czapeczkę Benitina i serwetkę zawiazaną pod brodą, z wielkiem skupieniem oglądał jajka, złożone w jednym z gniazd.

Nagle rzekł:

— Wiesz, kto jest spowiednikiem twojej matki?

— Ten sam proboszcz naszej parafii, Don Feliks Sanguesa.

Sancho zaczął przeglądać pod światło jedno jajko, zapewne, aby się przekonać, czy jest już zalążone.

Benita milczała, z oczyma utkwionemi w matę, pokrywającą kamienną podłogę. Po chwili mąż odezwał się znów:

— Czy ojciec twój zrobił wreszcie testament, jak to zamierzał?

— Nie wiem i nie troszczę się o to!—odparła, wzruszając ramionami.

Sancho zdawał się nie słyszeć tej odpowiedzi, bo rzucił w ką t trzymane w rękę jajko, mówiąc jednocześnie:

— Masz tobie! Puste jajko!

I z tą samą uwagą zabrał się do przeglądania innych.

— Dlaczego pytasz o testament?—rzekła w końcu Benita.

— Ponieważ ojciec twój przyrzekł mi wyposażyć cię lepiej, niż innych, i zostawić ładny zapis na każde z dzieci.

— Ja tam o to nie dbam—odparła Benita, łkając.—Mnie tylko obchodzi zdrowie jego ciała i jego duszy!

Sancho musiał przekonać się w tej chwili, że i reszta jajek była pusta, bo zgniół je nagle, tworząc jajecznicę w głębi gniazdka.

— Masz słuszność — rzekł w końcu. — O tem trzeba myśleć; dziś jeszcze sam pomówię z proboszczem.

VII.

W istocie, dnia tego po południu, zamiast pojechać konno na spacer, jak to było jego zwyczajem, skierował się ku parafii swoich teściów.

Proboszcz jej był to mężczyzna już w podszłym wieku, chudy, wysoki, napozór szorstki w obejściu.

— Ksiądz proboszcz mnie nie zna?—rzekł Sancho, wchodząc z tą wiecznie lekceważącą swobodą, jaka go nigdzie nie opuszczała.

— Nie, panie; nie mam przyjemności — odparł proboszcz.

A Sancho, tonem trochę pompatycznym, jak ktoś, co wymawia nazwisko, mające sprawić wrazenie, rzekł, kłaniając się lekko:

— Sancho Ortiz de los Pinares.

— A! Witam pana. Co słyhać? Don Benito ma się dobrze?

— Don Benito dobrze?—powtórzył Sancho, patrząc na proboszcza ze zdziwieniem. — A to mi się podoba! Doskonale się ma kochany staruszek. Przewybornie! Zupełnie, jak nagi w pokrzywach.

I mówiąc to swym zwykłym drwiącym tonem, usiadł bez ceremonii, zakładając nogę na nogę.

Podrażniony tem trochę proboszcz, miał mu już coś cierpko odpowiedzieć, gdy Sancho dodał:

— Czy ksiądz proboszcz nie wie, że mój teść stoi, jak to mówią, jedną nogą w grobie?

— Co mi pan powiadasz? Przecież mi sama pani Morales mówiła, że atak minął szczęśliwie i że żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

— Tak mówiła moja teściowa? Co za niedorzeczność! I kiedyż to mówiła?

— Przed trzema dniami... Kiedy była spowiadać się do wspólnej komunii Matek Chrześcianek.

— Do licha z Matkami Chrześcianańskimi i blagującymi teściowemi! Wiedźże, księżu proboszczu, że wszystko to, co powiedziała moja teściowa, jest kłamstwem.

— O!

— I że ona dobrze to wie.

— O! o!

— I wiesz, księżu proboszczu, dlaczego to mówisz? Oto, aby ci nie przyszła ochota odwiedzić chorego.

— O! o! o!

— I abyś ksiądz proboszcz nie powiedział biednemu staruszkowi, aby się przygotowywał na śmierć,

bo może klapnąć, kiedy się tego najmniej będzie spodziewał.

— O! o! ooo!

I proboszcz otwierał i zamykał swoją podnieszoną tabakierkę, jak gdyby to z jej wnętrza dobywał owe znaczące „O!” które w ustach jego przybierały znaczenie kluczków, otwierających mu całą serię zagadek.

Opowiedział mu tedy Sancho wszystko, co żona powtórzyła mu tego ranka, i zakończył prośbą, aby jako proboszcz i spowiednik użył swojej powagi nad donną Tulą i skłonił ją do przyzwolenia na udzielenie don Benitowi Ostatnich Sakramentów.

— Ta niewiasta—dodał—wbiła sobie w głowę, że jej Benito ma pozostać wiecznie na tym świecie. Siedmdziesiąt lat ma już starowina, a w tym wieku, żeby umrzeć, nie potrzeba żadnej innej choroby prócz śmierci. Do licha! zawsze słyshałem o Ojcu Wiekuistym, ale o teściu wiekuistym, jako żywo, nigdy mi się słyseć nie zdarzyło!

Proboszcz zaczął znów otwierać i zamykać tabakierkę i rzekł, patrząc na Sanche z pod oka:

— Przypuściwszy, że również i testamentu dotąd nie zrobił...

— Ależ naturalnie, że nie! — zawołał Sancho z żywością.

Nowe znaczące „O!” które niemile podrapało słuch zięcia, wypadło z impertynenckiej tabakierki proboszcza.

— To jest—ciągnął dalej Sancho, przygryzając usta—testament, zdaje mi się, był zrobiony jeszcze przed mojem ożenieniem. Ale, jak to jest rzeczą łatwą do zrozumienia, u człowieka tak rozlicznych zajęć, nie obejdzie się bez potrzeby jakichś kodycyłów w ostatniej chwili.

— Tak, tak...

— Zresztą, księże proboszczu, to względem stronny, przedewszystkiem należy dbać o jego duszę.

— Tak, tak...

— Żeby biedak nie umarł jak poganin.

— Tak, tak, senor don Sancho, rozumie się. Nie myśl pan, że tego pod uwagę nie biorę. W ciągu czterdziestu lat, jak jestem proboszczem, widziałem wiele dusz, idących do piekła, dzięki przywiązaniu rodziny. Tego jednak nigdy nie widziałem, aby który umarł z przerażenia, spowodowanego przyjęciem Ostatnich Sakramentów.

— Właśnie to samo mówię, księże proboszczu.

— A ja mówię więcej, senor don Sancho — przerwał proboszcz surowo. — Mówię, że widziałem tych samych krewnych, tak kochających, że im brakło odwagi do spełnienia najważniejszego prawie obowiązku chrześcijańskiego, obowiązku, nakładającego na nich odpowiedzialność przed Bogiem za zgubioną duszę, widziałem, mówię, tych samych krewnych, nie wahających się ani chwili dać choremu ostatni, jak mówią, Francuzki *coup de grâce*, gdy chodziło o ich interesy. I to pomiędzy ludźmi bardzo religijnymi... Posłuchaj pan, co mi się niedawno zdarzyło. Pewna pobożna dusza... bardzo pobożna... mieszkała przy swoim bracie, starym kawalerze, bogatym, który jakoby zrobił był testament na jej imię. Brat ten zachorował śmiertelnie i wszelkie moje usiłowania, aby się dostać do niego i wyświadczyć były daremne. Czula siostra zawsze mi tego zabraniała z obawy wrażenia, jakie moja obecność wyrzucić mogła na chorego. Nalegałem, prosiłem, groziłem, jak to było moim obowiązkiem i tylko tyle zyskałem, że pobożna dama wyrzucała mnie poprostu za drzwi, grożąc mi wezwaniem policyanta, jeżeli bym się odważył raz jeszcze próg jej domu przestąpić. Tymczasem, szczęśliwym zbiegiem okoliczno-

ści, dowiaduje się ona, że testament, na którym gruntuwała swoje nadzieje, nie jest zrobionym i wiesz pan, co uczyniła ta najtkliwsza siostra, ta najpobożniejsza niewiasta, aby jej się spadek nie wymknął? Oto była na tyle czelna, że przybiegła do mnie zrozpaczona, abym skłonił biednego starowinę do spisania swej ostatniej woli, a ponieważ spóźniłem się o godzinę — nie więcej, tylko o godzinę, senor don Sancho — nie wahała się sama dać bratu ów *coup de grâce*, w obawie, że mógłbym przyjść zapóźno.

— Co, za okropność! I cóż uczyniłeś, księże proboszczu?

— To, co mi nakazywała moja powinność, senor don Sancho, i ta zasada, która tak w złem, jak w dobrem jest praktyczną ziemską teorią: spożytkować niedolę jednych na pożytek drugich. Podziękowałem Bogu, że dla zbawienia duszy biedaka posłużył się chciwością tej kobiety i choć z wielkim trudem zbawiłem ją... Ceną własnego spadku okupił biedak wejście swe do nieba.

Sancho powstał wzruszony; wstrętny postępek tej kobiety kazał mu się zawstydzić własnych myśli; najczęściej bowiem zło, którego człowiek we własnych czynach nie widzi, ukazuje mu się dopiero wtedy, gdy sędzi postęпки swych bliźnich.

Podał obie ręce proboszczowi i rzekł ze szlachetną otwartością:

— Księże proboszczu, może opowiadanie to dałoby się zastosować bardziej, niż przypuszczasz nawet, do tego, com, wchodząc tu, myślał... Ale muszę nadmienić, że jeżeli to, co powiedziałeś o zgubnych przywiązaniach i przesadnych ostrożnościach, dałoby się zastosować do mojej teściowej, to co się tyczy nadziei spadku i materialnych wyrachowań, ani do niej, ani do jej dzieci zastosować się nie może.. Rozumiesz mnie, księże proboszczu!

— Bóg rozumie nas wszystkich, senor don Sancho!—odpowiedział proboszcz z godnością, odprowadzając go do drzwi.

Nazajutrz donna Tula aż podskoczyła na krzesło, gdy służąca przyszła oznajmić jej w obecności don Benita odwiedzin proboszcza.

— Co to za utrapienie! — wykrzyknęła z niecierpliwością i przestachem. — Niech powiedzą, że mnie nie ma w domu, że jestem zajęta...

— Ksiądz proboszcz powiada, że się koniecznie z samą panią widzieć musi.

— Cóż to się stało? — wtrącił don Benito, nastrożony także.

— Alboż ja wiem? Jakieś posiedzenie dobroczynne... składki dla biednych!—odrzekła donna Tula, coraz bardziej zmieszana.—Powiedz mu, żeby poczekał w gabinecie! Cóż to za natręt!

— Dlaczego go nie każesz prosić tu?—rzekł don Benito, żądny jakiegokolwiek rozrywki.

— Za nic na świecie! — wykrzyknęła, zapominając się, donna Tula.

— Ależ, moja droga, nie żyjemy przecież w czasach epidemii; nie ma obawy, aby od zapowietrzonych przychodził.

— To nie to, mój Beni... Ale nie chcę zbytecznie spoufalać tych panów; mogą być bardzo dobrzy i bardzo święci, ale są, jak te kury, co to dać im grzędę, jeszcze wyżej siędę! Niech przejdzie do gabinetu, a ja zaraz schodzę.

Don Benito wzruszył ramionami, a donna Tula, zdenerwowana i gniewna, pośpieszyła na przyjęcie proboszcza.

Pół godziny trwała rozmowa i nikt nigdy nie wiedział, o co pomiędzy nimi chodziło.

Zauważono tylko, że od tej pory donna Tula

nie przystąpiła nigdy do konfesyonału proboszcza; że przez dwa dni następne była dziwnie zamyśloną i roz-targnioną, jak gdyby coś knuła i rozważała, aż pewnego dnia, gdy cała rodzina zgromadziła się w pokoju chorego, wystąpiła nagle, siłą się niezręcznie na swobodę z projektem, który jakoby jej raptem przyszedł do głowy. Oto postanowiła prosić arcybiskupa o pozwolenie odprawiania nabożeństwa w domu, aby jej Beni mógł słuchać mszy wygodniej, a w wigilię Bożego Narodzenia odprawi się Pasterka i wszyscy razem o północy przystąpią do świętej Komunii.

— Wszyscy razem! — powtórzyła słodziutko.— I ty także, mój Beni! Zobaczysz jaka to piękna, rozczulająca ceremonia...

Don Benito skrzywił się.

— Cóż to znów? — rzekła donna Tula. — Z jakimi ten skrupułami teraz wyjeżdża?

— To nie są żadne skrupuły—odparł don Benito kwaśno. — Tylko, że kto ma siedmdziesiąt lat i reumatyzm, ten o północy nie wstaje się modlić.

Donna Tula zmieszana się, ale po chwili rzekła pobożnie:

— Tak, mój najdroższy, ale trzeba przecież ofiarować coś Dzieciątku Jezus. Choćby to małe umartwienie.

Sancho słuchał, nie przerywając swej teściowej; w końcu jednak mruknął przez zęby:

— Ta, ta, ta! Pyszna sobie ta donna Naprzykrzalska! Myśli, że śmierć będzie czekała z rękami w kieszeniach, aż ona ją na wigilię zaprosi!

I tego samego wieczora, gdy przed udaniem się na spoczynek młodzi małżonkowie całowali swe śpiące pociechy, Sancho zatrzymał żcnę pomiędzy łóžczkami dzieci i rzekł poważnie:

— Benito, chcę cię o coś prosić. Przyrzeknij mi na to, co masz najdroższego, na życie tych aniołków, że gdy zobaczysz mnie w położeniu twego ojca, powiesz mi to bez względu na żadne urojone niebezpieczeństwa. Chcę umrzeć, jak chrześcianin... chcę iść do nieba razem z tobą i z memi dziećmi.

Benita zaczęła płakać i ukryła twarz na pierśiach męża, mówiąc mu z głębi duszy:

— Przysięgam ci to, Sancho, przysięgam... i proszę cię o tę samą obietnicę.

A Sancho ze łzami w oczach powtórzył cichym głosem:

— Przysięgam ci!

I oboje małżonkowie przypieczętowali swą umowę, składając pocałunki na białych czołkach uśmiechających się przez sen dzieci.

Wówczas Benita powzięła jedno z tych natchnień, które miłość i pobożność podszeptuje kochającej żonie i chrześciance. Otoczyła ramieniem szyję Sancha, pochylonego nad łóżeczkiem młodszego synka, i szepnęła mu na ucho, uśmiechając się przez ły:

— Pocóż czekać godziny śmierci? Zaraz jutro możemy się oboje wypowiedać. Już przeszło rok, jak nie byłeś u spowiedzi!

A Sancho, przestając być Sanchem jednej chwili, aby stać się Sanchem każdego dnia, uściskał żonę, mówiąc żartobliwie:

— A tej co znów w głowie świta?

I zaczął skakać po pokoju z tą strasliwą lekomyślnością, z jaką wiele serc zdrowych igra z miłosierdziem boskiem, ot, tak sobie tylko, dla poży!...

VIII.

W katedrze zadzwoniono na Anioł Pański. Głos dzwonu odezwał się poważny, spokojny, pogodny, jak modlitwa czystej duszy, wznosząca się nad wrzawą miast. Nastąpiła chwilowa cisza, która każde czujące serce jakimś bezwiednym skupieniem napełnia i nagle, ile dzwonów było w X*, wszystkie odezwały się, rozlewając w powietrzu kaskadę radosnych, harmonijnych dźwięków, prawdziwych metalicznych okrzyków wesela, przeznaczonych na to, aby wciskały się wszędzie i napełniały wszystkie dusze echem tych słów świętych: *Tota pulchra es Maria et macula originalis non es in te!*

Była to bowiem wigilia Niepokalanego Poczęcia i dzwony obwieszczały zbliżanie się tego uroczystego święta. Ludzie gromadami snuli się po ulicach, uiluminowanych rzęsiście i z tem poczuciem smaku, jaki Andaluzyjczycy umieją rozwijać w podobnych okolicznościach; domy były udekorowane, począwszy od tych, które się mogły ustroić w kosztowne dywany i makaty, a skończywszy na tych, których nie stać było na więcej, niż na skromny perkalik. Sklepy zwłaszcza poprzystrajały swoje wystawy i oświetliły setkami gazowych płomyków, które, tworząc najfantastyczniejsze girlandy i festony, rzuciły na rojące się pod nimi tłumy swe żywe, migotliwe światło.

Dom don Benita przystrojony był również z surową elegancją, odpowiadającą poważnemu charakterowi właściciela. Opony z karmazynowego adamaszku zwieszały się z okien i balkonów i trzy wielkie rzędy świateł, zamkniętych w kryształowych tulipanach, zdobiły wszystkie trzy piętra tego pięknego domu.

Pośrodku, przytwierdzona do balkonu, powie-

wała trójkolorowa konsularna chorągiew, jakby dla przypomnienia publice nietykalności i próżności konsula Nikaraguy.

Ten ostatni spoczywał, jak zwykle, w głębokim fotelu, przysuniętym do kominka, otoczony rodziną, która co wieczór gromadziła się w komplecie dokoła niego, aby mu uprzyjemnić ostatnie godziny dnia, z których każdy mógł być ostatnim jego życia.

Lorenzo przejrzał pocztę ojcowską, przychodzącą zwykle w tej porze i odczytał mu na głos jego ulubione dzienniki. Po skończeniu czytania wszyscy odmawiali różaniec, wyjąwszy Lorenza, który przerzucał w dalszym ciągu gazety lub siedział zadumany i milczący.

Wkrótce potem nadszedł Sancho z Kasyna i rozweselił zgromadzenie swą wesołością, opowiadając niestworzone rzeczy i dokazując, jak rozpuszczo-ny dzieciak.

Don Benito, który żywił prawdziwą słabość dla swego zięcia, rozpromienił się na jego widok, a donna Tula, chociaż spoglądała na niego z ukosa, gdyż Sancho najczęściej ją brał za przedmiot swoich żartów i wycieczek, kryła, jak mogła, swe wrogie uczucia ze względu na rozrywkę biednego chorego, oczekując w cichości godziny zemsty z mitologiczną wytrwałością Medei, tylko że nie kochanki, lecz teściowej.

Tego wieczora jednak don Benito nie potrzebował widoku zięcia, aby tchnąć radością i tem zadowoleniem, jakie pogłaskana próżność budzi zawsze w duszach małych, a rzadko w wielkich, tak samo, jak ogień łatwiej wybucha w drewnianych chatach, niż w murowanych pałacach.

Don Benito otrzymał dziś list od ministra; list od Exmo Sr. don Pedro Lopez, pierwszego margrabiego de Campo-Agarra. Jego ekscelencya nazywał go w tym liście swoim „drogim przyjacielem,”

donosił mu przytem o blizkich wyborach deputowanych, odsłaniając mu pod największym sekretem nazwisko kandydata ministeryalnego, na którego zwycięstwo liczył gabinet, dzięki potężnemu poparciu i „wszechstronnym wpływom” (wyrażenie ministra) don Benita w całej prowincyi. Na tem, wyrażając swe „najgłębsze uznanie,” i przesyłając mu „zapewnienie swego wysokiego szacunku,” zakończył ekscelencya, podpisując się z poufałością, która podbiła zupełnie serce konsula Nikaraguy—Lopez; Lopez prosto, jakby pisał do swego rodzzonego brata.

Woń ministeryalnych kadzideł odurzyła zupełnie słabą głowę don Benita; zaczął płakać z zadowolenia i pusty podmuch próżności rozwiał w jednej chwili w duszy tego na wpół trupa wszystkie złe przecucia, wszystkie ponure myśli, jakim się jeszcze przed kilku dniami tak bezgranicznie oddawał, a które, pomimo kłamliwych zaręczeń doktora i sztucznej otuchy otoczenia, napadały go nagle lub przynajmniej tkwiły na dnie jego duszy, jak cierń jatrzący i nie do wyjęcia.

Ale list ministra kazał mu zapomnieć o chorobie, o śmierci, o wieczności; odczytał go donnie Tuli, dzieciom, wszystkim, którzy go tego dnia odwiedzili, tylko ostatnia szczypta rozsądku, błakająca się jeszcze po tej zniedołężniałej głowie, sprawiła, że nie kazał wystawić na widok publiczny, pospołu z konsularną banderą, owego zaszczytnego listu, z objaśnieniem, że ów Lopez, to nie był Lopez szewc z przeciwka, ani Lopez balwierz z sąsiedniej ulicy, ani Lopez z pobliskiej restauracyi, ale Lopez, minister korony, Lopez, założyciel dynastyi margrabiów de Campo-Agarra...

Donna Tula nie posiadała się z radości, widząc męża tak rozweselonym, a don Benito, z tem niz-

kiem poczuciem wdzięczności, które zobowiązuje pochlebionego względem pochlebcy, zaczął odrazu kreślić z pomocą Lorenza plan kampanii, w sposób odsłaniający całą jego mastryę, doświadczenie i zdolności w sprawach wyborów. Wizyty, listy, prośby, obietnice, nagrody, groźby, wszystkie, jednym słowem, środki, jakimi można się posłużyć dla zdobycia głosu, przychodziły mu na pamięć ze zdumiewającą szybkością, za każdym nazwiskiem wyborców, jakie Lorenzo zapisywał na liście; i z głębi swego fotelu don Benito poruszył w jednej chwili wszystkie sprężyny wyborczej swej prowincyi w sposób, w jaki niegdyś Filip II-gi z kąta Eskuryalu kierował losami całego świata.

O dziesiątej wszedł Sancho; panie skończyły właśnie różaniec, którego don Benito, zaprzątnięty planami elektoralnemi, nie odmówił tego wieczora.

Ujrawszy swego zięcia, rzekł do Lorenza z miłą zadwołoną:

— Dostyc na dziś... Jutro zabierzemy się dalej do roboty, zwycięstwo zapewnione. Kwestya dwóch tygodni.

Rozmowa stała się ogólną i don Benito wesół i ożywiony, jak nigdy, zwrócił się do zięcia z uśmiechniętą twarzą agenta wyborczego, który zamierza wyekspluatować bogate źródło głosów.

Sancho bowiem był właścicielem rozległych posiadłości ziemskich, miał wielu dzierżawców, należało się więc liczyć z jego wpływami.

Don Benito zaczął przygotowywać grunt, wychwalając wielkie zalety znakomitego Campo Agarra, z tą stroną hojnością, z jaką zlewamy wszystkie doskonałości na osobę, która nam pochlebia lub jest nam potrzebna; hojnością, będącą kluczem wielu sław politycznych i literackich, wytwarzających się w łonie takich stowarzyszeń wzajemnych pochwał.

Ale Sancho nie zdawał się usposobionym do popierania politycznych widoków swego teścia i ograniczył się na pogardliwej odpowiedzi:

— Margrabia de Campo-Agarra! Miły gagatek! Powinniby go zrobić także hrabią de Nada Suelta ¹⁾.

Don Benito udał, że nie rozumie złośliwości, ukrytej w nowym tytule, jakim Sancho nazywał jego znakomitego przyjaciela, i dodał poważnie, dogmatycznym tonem swoich lepszych czasów:

— Dzielna to głowa... Mnie się on widzi powołany do utworzenia nowego stronnictwa zachowawczego, które my wszyscy, miłośnicy publicznego porządku, powinniśmy podtrzymywać... Jak ci się zdaje, Sancho?

— Mnie? — odpowiedział zapytany. — Mnie się zdaje, że zachowawcy młodzi i starzy, iskierdysci, monarchiści, republikanie, wszyscy są sobie krewni. Nazwy te, to imiona chrzestne, a nazwisko jest jedno: złodzieje i basta.

I, jak gdyby chcąc zażegnać oburzenie teścia, pochwycił dziennik i zaczął go przeglądać.

Don Benito mrugnął na Lorenza, który chciał coś odpowiedzieć, i szepnął mu pocichu:

— Daj pokój... Już ja z nim trafię do ładu... Mam go w ręku.

Może sprytny staruszek miał na myśli ów zapis, który w tych czasach tak bardzo zaprzątał Sanchez... Ten ostatni zaczął się nagle śmiać niepohamowanie, bijąc się dłońmi po biodrach.

¹⁾ Jest to gra słów trudna do przetłumaczenia. Campo Agarra znaczy dosłownie: „pole chwytające”, a Nada Suelta: „nic nie kiefkuje.”
(*przyp. tłum.*)

— Masz, masz! — rzekł do Lorenza, podając mu dziennik.—Przeczytaj to ojcu. Czy to nie paradna historia?

Lorenzo wziął dziennik z pobłażliwym półusmiechem i zaczął czytać głośno:

„Dobry interes! Przy ostatniem wykolejeniu się pociągu, jakie miało miejsce w tych dniach w Kalifornii, zaszedł następujący, godny uwagi wypadek. Niejaki mr. Starbottle, znany w Bostonie z ciągłych utarczek ze swoją teściową, towarzyszył tej ostatniej w wagonie pierwszej klasy. Katastrofa stała się fatalną dla teściowej: koła wagonu zmiażdżyły ją. Mr. Starbottle wyszedł nietknięty. Ledwie ochłonawszy z przestachu, zacny Starbottle udał się do zarządu kolei żelaznej, żądając wynagrodzenia za śmierć teściowej. Wynikł proces i trybunał przychylił się do żądania mr. Starbottle, skazując zarząd kolei na wypłatę pięciu tysięcy dolarów w drodze indemnizacji szczęśliwemu zięciowi. Historia ta stała się głośną i według „The Morning Post”, który tę wiadomość podaje, od owej chwili na linii północnej datuje wielki ruch zięciów, podróżujących ze swemi teściowami.”

Jeszcze Lorenzo nie skończył czytać, a Sancho stał już przed donną Tulą, ofiarując jej ramię z właściwym mu wdziękiem i mówiąc tonem gorącej prośby:

— Mameczko! Jedźmy do Kalifornii! Namów się, mameczko; niech tam już pociąg szczęśliwie dojedzie i stracę pięć tysięcy dolarów. Kupić nie kupić, potargować można.

Don Benito aż się zaniósł od śmiechu, a donna Tula, kipiąc wewnątrz ze złości, odparła słodziutko:

— Przestań, Sancho. Rzemiosło błaznów już nawet na dworach nie jest poplatne.

— Jedźmy, mameczko! — ciągnął dalej Sancho błagalnie.—Tatko Benito da nam liścik do Nikaraguy i przyjmą nas tam z honorami, aż nam uszy od tam-tamów popuchną. Jedźmy, mameczko! Co tam... Niech mi dadzą choć pięć tysięcy realów, poprzestaną i na tem!

— Proszę cię, daj mi pokój!

— Moja mameczko! Choćby mi nawet nie dali... Niech się tylko pociąg wykolei — ryzykuje!

Don Benito śmiał się tak serdecznie, że śmiech jego stał się aż konwulsyjnym i donna Tula, widząc jego uciechę, postanowiła przedłużyć tę scenę. Wstała więc z żywością i przyjmując ramię Sancha, rzekła żartobliwie:

— Jedźmy więc, luby zięciu! Może, jeżeli się pociąg wykolei, mnie zapłacą owe pięć tysięcy dolarów, a ty się dostaniesz pod koła.

Konwulsyjny śmiech Benita ucichł nagle, jak gdyby go coś chwyciło za gardło. Lorenzo spojrział na niego niespokojnie i zobaczył, że twarz jego sinieje, a oczy krwią zachodzą.

— Cicho!—zawołał na Sancha, który kręcił się po pokoju, szkicując swojej teściowej plan podróży do Kalifornii.

Wszyscy naraz ucichli, wszyscy przestraszeni nadbiegli.

Don Benito, dysząc, zwiesił głowę na bok; donna Tula chciała mu rozpiąć kołnierzyk, ale starzec odepchnął ją z zadziwiającą siłą.

Wówczas nastąpiła chwila okropnego zamieszania, podczas której z ust tych sinych i wykrzywionych wyszedł rodzaj czkawki, niby ostatni jęk duszy, czepiającej się napróżno martwiejącego ciała, aby nie wpaść w ręce Boga żywego, który ją na sąd powołuje, aby nie wpaść w otwartą przepaść wieczności, domagającą się swojej ofiary... Wreszcie

zawieszenie to skupiło się w dwóch wyrazach, które zdawały się jakby kawałkami wyrzucone w powietrze:

— Ren... zo!... Tes... ta... ment!...

Oczy mu stanęły kołem; głos zamarł i twarz zeszywniała raptem, zachowując wyraz nieopisanej zgrozy i przestachu. Benita i jej siostra wybiegły z pokoju, krzycząc o pomoc. Lorenzo i Sancho pochwycili trupa i zanieśli go do sypialni. Tu łóżko zasłane już, jak na noc, wygrzane, miękkie, oczekiwało na swego pana.

Donna Tula, zapomniana przez wszystkich, została w pokoju na krześle, na jakie się osunęła, gdy mąż ją odepchnął, niema, głucha, jakby rażona piorunem, patrząca bez zdawania sobie sprawy z tego, co widzi, na służbę, która wchodziła i wychodziła, na lekarzy, którzy nadbiegli z pośpiechem, na przyjaciół, którzy się cisnęli zatrwożeni. Jakaś postać czarna weszła także szybko do sypialni i wkrótce wyszła: był to proboszcz don Feliks Sanguesa.

Donna Tula poznała go i wtedy dopiero dała pierwszy znak życia: zaczęła trząść się i szcekać zębami.

IX.

Dwie świece, palące się na konsolce przed krucyliksem, pozostawiały w cieniu łóżko, o podniesionych do góry firankach, na których pod białym prześcieradłem rysowały się sztywne kształty trupa.

W sypialni panowała najgłębsza cisza, nie przzerwana żadnym szelestem; w kącie, bez ruchu,

siedział Lorenzo, z piętnem głębokiej boleści na bladości twarzy.

Z po za drzwi sypialni dolatywały przyciszone odgłosy kroków, stąpających ostrożnie, jak gdyby śmierć nakazywała wszystkim milczenie; czasem wśród rozchylnych draperyj portyery ukazała się twarz obojętna lub nieznana, spoglądająca w stronę umarłego z tą ciekawością trwożną i bezmyślną, z jaką pospólstwo spogląda na zgliszczka już ugaszonego pożaru lub na ofiary katastrofy, której niebezpieczeństwo już minęło.

W jednym z sąsiednich pokoiów rozlegały się głuche uderzenia młotka: byli to robotnicy zakładu pogrzebowego, objający salon kirem i ustawiający pośrodku katafalk na przyjęcie trupa.

Jeden z nich, z cygarem za uchem i w czapce na głowie, wszedł do sypialni, kierując się prosto do łóżka.

Lorenzo chwycił go gniewnie za ramię; tamten popatrzył na niego zdziwiony i rzekł z zimną krwią:

— Trumna!

Poczem wyjął z kieszeni metr składany, wziął miarę ciała, nie odkrywając go, i wyszedł, nie powiedziawszy ani słowa.

Lorenzo zaczął się przechadzać tam i napowrót; boleść jego była bardzo podobną do gniewnego zdziwienia dzikiego rumaka, który po raz pierwszy, nie mogąc się obronić, czuje bodziec ostrogi.

Wkrótce potem wejście osobliwej pary ponurego wyglądu przerwało przechadzkę Lorena; była to stara kobieta i chłopak, niosący jakieś zawiniątko. Oboje zdziwili się, ujrawszy młodzieńca, i zatrzymali się trochę zmieszani.

— Czego chcecie?! — krzyknął gniewnie Lorenzo.

— Jesteśmy... przyszlismy...—wybełkotała stara kobieta.

— Przyszlismy umyć i ubrać trupa—dokończył chłopak zuchwale.

Wszystka krew zakipiała w Lorenzu; czuł, że go ogarnia wściekłość i krzyknął:

— Precz ztąd, bydłeta!

Stara zaczęła uciekać, chłopak zatrzymał się jeszcze chwilę, jakby chcąc bardziej podrażnić Lorenza, i wycofał się z wolna, z odwróconą ku niemu, wyzywającą, beczelną twarzą ulicznego wyrostka:

— Pocóż nas było wołać?—mruknął.

Lorenzo wyszedł z sypialni, szukając matki, i dowiedział się, że ona i obie córki poszły do domu Sancha. Uśmiech goryczy wykrzywił jego poblądłe usta; zawołał starą Manuę, swoją mamkę, i z jej pomocą zabrał się do ostatnich koło trupa porządków.

O dwunastej przyniesiono trumnę, a raczej trumny, jedną metalową, drugą drewnianą, pokrytą aksamitem, z dużymi złocistymi frendzlami.

Lorenzo sam ułożył trupa w metalowej trumnie i patrzył, jak ją lutowano, nie poruszywszy się, nie wymówiwszy ani słowa. Wieko trumny miało małe szklane okienko, przez które można było widzieć wyraźnie twarz nieboszczyka.

Salon już był od dołu do góry powleczoney kirem, a pośrodku wznosił się wielki katafalk, czarnym aksamitem kryty, otoczony mnóstwem jarzącego światła; w głębi umieszczono ołtarz, także czarnym aksamitem obciążnięty, nad którym rozpościerał ramiona swe duży krucyfiks, w wieńcu żółtych groźnic.

Lorenzo stanął u stóp katafalka i wpatrzył

się w widoczną przez szklany otwór twarz zmarłego...

To więc było wszystko, co zostało z jego ojca! z jego ojca, który był jedyną miłością jego życia! Garść ciała, zaczynającego się już rozkładać, ciała, które w rysach swych nie zachowało nawet tej imponującej pogody, jaką śmierć nieraz twarz zmarłych piętnuje; nie zniknął bowiem z niej wyraz zgrozy, jaką miała w chwili śmierci, i gdy jedno oko było zamknięte i jak gdyby wtłoczone pod powiekę, drugie otwierało się trochę, jakby mrugając na patrzącego w sposób okropny.

Lorenzo zamknął oczy; wściekłość, jaka go przed niedawną chwilą opanowała, ustąpiła miejsca jakiejś nieopisanej, dręczącej bojaźni, przed którą dusza jego cofała się, nie mając o co zaczepić, instynktownie szukając jakiegoś oparcia... Bo uczony ten matematyk, chluba instytutu technologicznego — Lorenzo był inżynierem — nie miał już wiary, nie miał nadziei; popadł zdawna w rodzaj libertynizmu umysłowego, do jakiego wyłączenie studyowania nauk ścisłych doprowadza niektóre inteligencje, co nauczywszy się tylko badać, zapominają wierzyć, i nie chcą postawić tego ostatniego kroku na drodze mądrości, trudnego, bo upokarzającego, który polega na zrozumieniu, iż jest wiele rzeczy przewyższających rozum ludzki. Pycha buntowała się w nim przeciw takiemu wyznaniu.

To, czego nie rozumiał, czego nie mógł opanovać, to nie istniało dla niego i istnieć nie mogło; taka była filozofia tego matematyka, nawykłego do wynajdywania niewiadomego przez wiadome.

A ponieważ nie mógł rozwiązać zagadki śmierci, przeto człowiek umarły był dla niego garścią ziemi, wracającą do ziemi, nie pozostawiającą po sobie żadnego śladu. Gdy jednak ojciec jego stał się tą garścią ziemi, wracającą do ziemi; gdy uwierzył, iż

nie zostało z niego nic, prócz rojowiska robaków w zarodku, uczuł w całej swej grozie, w całej swej rozpaczliwości, okropną pustkę, jaką teorie jego pozostawiały w duszy; przywoływał je na pomoc i szukał w nich z natężeniem spragnionego wędrowca, szukającego źródła na pustyni, a nie znajdując nic, zrozumiał po raz pierwszy, że choćby wiara katolicka nie była podstawą wszystkich cnót, jest w każdym razie najlepszą z pociech, jedyną, jaka w podobnych chwilach ukoić może duszę.

Zaprzagnął wówczas uwierzyć, iż Bóg, nieograniczony w swem miłosierdziu, nie odtrąci go.

Biedny młodzieniec czuł, że ta dręcząca jakaś trwoga i niepewność dławia go, tak, jak go dławiała ciężka atmosfera salonu. Odstąpił nagle od katafalka i roztworzył naociecz okno; wietrzyk nocny orzeźwiająca falą buchnął do zadusznej komnaty i rozległ się wyraźnie głos nocnego stróża, wywołującego godzinę drugą, czemu towarzyszył ów pobożny wykrzyk, przyjęty jako obyczaj w Andaluzji:

— Witaj, Panno Przeczysta!

Wykrzyk ten przywiódł na pamięć Lorenzowi uroczystość budzącego się dnia, wesolość jego wigilii, przywiódł mu na pamięć obraz tej dziewicy bez zmazy, który przedstawia się zwykle człowiekowi jako najwyższy szczyt miłosierdzia słodkiego, czynnego, głębokiego, nieograniczonego, które obejmuje swemi matczynymi ramionami zarówno wdzięcznych, jak niewdzięcznych, na podobieństwo firamentu, opasującego świat cały.

Lorenzo oparł czoło o krawędź katafalka i odmówił raz i drugi modlitwy, jakie umiał. Rzecz dziwna! te same modlitwy, które dawniej wydawały mu się pustym, pospolitym dźwiękiem, rutynicznym nagromadzeniem słów, teraz, w oświetleniu nieszczęścia, nabierały dlań głębokiego, późniejszego znaczenia.

Świtało już, gdy Lorenzo podniósł głowę, ponieważ stara Manuela wstrząsnęła go za ramię, myśląc, że zasnął.

Napróżno pocziwa kobiecina namawiała go, żeby się położył i odpoczął trochę. Lorenzo oparł się temu, prosząc ją tylko, aby mu przyniosła filiżankę rosolu. Gdy o czwartej po południu znajomi i przyjaciele zaczęli się zbierać na pogrzeb, Lorenzo siedział jeszcze wciąż nieporuszony u stóp katafalka.

Raz jeden tylko wstał, gdy z rozkazu donny Tuli robotnicy zakładu pogrzebowego weszli nakryć trumnę, w rodzaju całuna żałobnego, banderą Nikaraguy, i przytwierdzili u góry dawną laskę alkada i wielką wstęgę Izabelli Katolickiej. Lorenzo cisnął to wszystko z gniewem w ką; wydało mu się, jakby chciano pokryć błazeńską czapką rozkładającą się już głowę jego ojca.

Różne osoby w żałobie zaczęły wchodzić do salonu. Lorenzo ukrył się wówczas za fałdami draperyi, w głębi koło ołtarza, gdzie nikt go widzieć nie mógł. Niektóre z tych osób przyklękały, odmawiały krótką modlitwę i wychodziły, rozmawiając o rzeczach obojętnych. Inni ograniczali się na popatrzeniu ciekawie na katafalk i wynosili się coplej.

Dwa razy usłyszał cichy, stłumiony chichot i wydało mu się, że to bandera Nikaraguy, zapomniana w kącie, wywołała tę niewczesną wesolość.

Po jakimś czasie dał się słyszeć odgłos liczących kroków, zbliżających się powoli; był to kler, mający prowadzić żałobny orszak.

Lorenzo zachwiał się, jak człowiek silnym ciosem rażony; ręce zaczęły mu drżeć, osunął się na kolana, wspierając czoło o poręcz pobliskiego fotelu, i pozostał tak nieruchomy. Duchowieństwo zainto-

nowało *De profundis*, ten hymn żałobny, wzniosły w swej monotonii, budzącej w wyobraźni myśl o owej wieczności, tak samo monotonnej, bo bez początku, bez przerwy, bez końca i bez zmiany. Lorenzo słuchał, nie tracąc ani jednego dźwięku, słyszał potem lekkie szelest kropel wody święconej, padających na trumnę, i szmer poruszających się sutan. Wnet potem doleciał jego uszu inny odgłos, jakby unoszenie wielkiego ciężaru, i zadyszany oddech kilku ludzi, usłyszał kroki ciężkie, jakby wtlaczające się w podszkłę, poczem wszystko ucichło.

Lorenzo podniósł głowę; katafalk był pusty i salon także. Wówczas zrozumiał, że nawet i tej garści prochu nie zostało już z jego ojca i wielka ciężka boleść, która przenika aż do szpiku kości i zdaje się odrywać je od ciała, wstrząsnęła całym jego jestestwem.

Wybiegł, jak szalony, z salonu pędem, minął galeryę i uczepił się balkonu, dającego możność, aby ujrzeć trumnę swego ojca, zstępującą po raz ostatni ze schodów na ramionach czterech żałobników.

Sancho, który go widział wybiegającego, podążył za nim i pochwycił go w ramiona, w obawie, aby Lorenzo nie rzucił się na dół; ale on wyciągnął tylko zaciśnięte pięści ku trumnie i wykrzyknął, zgrzytając zębami:

— Wynoszą go! Och... wynoszą!

Poczem ukrył twarz na piersiach szwagra i nie dodał już ani słowa. Owszem, bez oporu pozwolił mu się zaprowadzić do sypialni, gdzie go rozebrano i włożono do łóżka, jak chore dziecko.

Sancho został przy nim do wieczora, a gdy wstał wreszcie, aby się pożywić, Lorenzo przytrzymał go za rękę, mówiąc bardzo cicho:

— Sancho, masz ty różaniec?

Sancho milczał przez chwilę osłupiały; ręka,

którą opierał na głowie szwagra, zadrżała lekko, poczem tym samym stłumionym głosem odparł:

— Nie... Poczekaj!

Pobiegł do pustego pokoju Lolity, przewracał jej wszystkie pudełka i szuflady, wreszcie, znalazłszy w kącie komody różaniec z perłowej masy, wrócił szybko do sypialni Lorenza i rzucił mu go na łóżko, mówiąc:

— Masz!

Poczem wyszedł i znalazłszy się sam w sąsiednim pokoju, oparł głowę o framugę okna i zaczął płakać jak dziecko.

X.

Z niektórymi wrażeniami ma się tak samo jak z niektórymi obrazami: potrzeba spoglądać na nie z pewnej oległości, aby ocenić całą ich wartość.

W trzy dni po pogrzebie don Benita, kiedy rozproszyła się już chmara przyjaciół, otaczająca zwykle w podobnych okolicznościach rodzinę, aby ją pocieszać, rozrywać, a częstokroć nudzić, donna Tula i jej dzieci wróciły do zwykłego trybu życia i wówczas ucuły w całej rozciągłości niezapełnioną pustkę, jaką strata ta pozostawiła w ich duszach.

W pierwszej chwili boleści mało się rozważa, i cios gwałtowny wstrząsa duszę, na podobieństwo cielesnego ciosu, którego odczuwa się wstrząśnienie, ale nie ból. Dopiero później, gdy rana ostudza się niejako, człowiek popada w stan gorszy, niż poprzedni, choć napozór spokojniejszy; myśli smutne zacie-

śniąją się dokoła niego, a żar ukryty, zdaje się być przeznaczonym do spalenia go na wolnym ogniu.

Owe długie godziny, schodzące dawniej na pielęgnowaniu chorego, a teraz niczem nie zajęte, owe przedmioty, służące do jego użytku, a dziś już niepotrzebne, owe miejsca, w których przyzwyczajono się go widywać, puste już dzisiaj—wszystko to podniecało żal donny Tuli i jej dzieci, grożąc ich zdrowiu, a nawet stanowi ich umysłu.

Zrozumiał to Lorenzo i przewyciężył się całą mocą swego charakteru, aby zająć się interesami ojca.

Nigdzie nie można było znaleźć ostatniej woli don Benita, i ta nieoględność jego wytlómaczyła rodzinie ostatni pełen trwogi okrzyk biednego starca: Testament! do którego przedtem nikt żadnej nie przywiązywał wagi.

— Biedaczek! mój najdroższy!—wołała donna Tula, wylewając potoki łez — W ostatniej chwili jeszcze o nas myślał! Troska o nasze dobro była jego ostatniem słowem!... Ach Boże! Nie było na świecie takiego męża i takiego ojca! To był święty! To był święty!...

Zgodzono się wreszcie spisać inwentarz rozlicznych posiadłości don Benita i oddać działą w ręce domowego adwokata. Jednego dnia, po obiedzie, zaszedł Lorenzo do gabinetu ojca, do którego od dnia owego pierwszego fatalnego ataku nikt jeszcze nie zaglądał. Wszystko tu było, jak za życia właściciela, nieruchome tą okrutną martwością sprzętów, która ma w sobie czasem coś, jak gdyby rodzaj sparalizowanego życia. W głębi stały dwa wielkie mahoniowe pulpity, w których przechowywano papiery rodzinne; na lewo kasa ogniotrwała o sekretnym mechanizmie; pośrodku wielkie ciężkie biurko o licznych szufladach i wysokie poręczowe krzesło, z którego tylokrotnie dogmatyzował don Benito.

Na biurku leżał uprzejmy list gubernatora zapraszający go na ów bankiet, któremu inne niespodziewane wezwanie przeszkodziło, a w tece znajdował się nieskończony list samego don Benita, datowany w ten sam fatalny dzień Wszystkich Świętych, pisany w interesie don Narcyza Perez, zamieszkałego w Madrycie, a z boku przyciśnięte popiersiem Woltera, wyrzeźbionem z kamienia z Bastylli, które Lorenzo przywiózł kiedyś ojcu z Paryża, ta sama lista wyborcza jaką na dwadzieścia minut przed śmiercią don Benito dyktował synowi z pełnem zaufaniem, że w ciągu dwóch tygodni będzie świadkiem tryumfu swoich zabiegów.

Westchnienie podobne do łkania wyrwało się z piersi Lorenza; zsunął wszystkie te papiery do kosa stojącego obok biurka i zabrał się do przeglądania dokumentów, w obu pulpitach zawartych. Były to po większej części wyciągi hypoteczne i dowody własności różnych dóbr. W jednym kącie Lorenzo odkrył akta procesu, wytoczonego jego ojcu przez bezpośrednich sukcesorów owego milionowego stryła, który go swoim ogólnym spadkobiercą ustanowił. Lorenzo przypomniał sobie, jak w dzieciństwie słyszał o owym procesie i o nędzy, w jakiej pozostała strona przeciwna: wdowa z dwojgiem dzieci, po zapadnięciu wyroku na korzyść don Benita.

Jakaś dziwna ciekawość skłoniła Lorenza do przerzucenia tych papierów: na samym ich spodzie znalazł własnoręczny testament owego stryja don Kajetana Morales. Dokument ten mógł w znacznej części ułatwić pracę spisania inwentarza, jako że były w nim wyszczególnione i ocenione wszystkie prawie posiadłości don Benita. Lorenzo zaczął go odczytywać z uwagą, czyniąc tu i owdzie notatki; tymczasem zaczęło się ściemniać, a ciężkie firanki z zielonego rypsu u okien bardziej jeszcze tłumily skąpe światło.

Lorenzo zbliżył się do okna, wychodzącego na obszerny ogród i czytał dalej, gdy wtem szmer otwierającej się ostrożnie furtki ogrodowej zwrócił jego uwagę. Spojrzał i dostrzegł Sancha, który rozglądał się dokoła, jakby badając, czy go jakie oczy nie widzą. Upewniony w tym względzie, skierował się on ku małej okrągłej altance, zbudowane na zaimprowizowanym pagórku. Wówczas spostrzegł, że pod zapiętym na wszystkie guziki paltotem szwagra coś wystaje i porusza się, jakby jakaś żywa istota. Za Sanchem szli jego synkowie, obaj w żalobnych bluzkach, wysokich bucikach i czarnych pończoszках.

Benito trzymał się ojcowskiego paltota, Sanchillo dreptał za nimi, ssąc paluszki w buzi, a obaj mieli te wystraszone i filuterne minki, jakie można zauważyć u dzieci, gdy są trakcie spłatania jakiegoś figla.

Sancho usiadł na ławce w altanie i wyjął z pod paltota swój tajemniczy pakunek. Był to kot, ulubiony kot Lolity, na którego złała ona cały nadmiar czułości, jaka przepelnia serce trzydziestoletniej dziewicy. Mimowolnie zaciekawiony, Lorenzo patrzył, co będzie dalej.

Dzieci poprzysiadaly na ziemi u kolan ojca, którzy przytrzymując wrywającego się kota, dobył z kieszki dwa orzechy, rozłupał je starannie za pomocą scyzoryka wydrażył, obuł następnie wszystkie cztery łapki kota w tak przygotowane połówki i puścił go na wybrukowaną drobnymi białymi i czerwonymi kamyczkami podłogę altanki.

Kot wystraszony zaczął wyprawiać najpocięszniejsze skoki; tupot zaimprowizowanych pantofelków doprowadzał go prawie do szału. Dzieci pokladały się od śmiechu. Napróżno Sancho nakazywał im milczenie, w obawie, by jakie niedyskretne oko nie złapało ich na goracym uczynku; malcy śmieli się coraz głośniejsze i klaszcząc w ręce zaczęli gonić kota uliczką, wiodącą tuż pod okna gabinetu don Benita.

Widząc to Lorenzo, uśmiechnął się po raz pierwszy od śmierci ojca, a nie chcąc zamącić dzieciom zabawy, gdyby go raptem spostrzegły, zamiast się cofnąć, przeslonił tylko szybę ostatnią stronicą testamentu, na której znajdował się podpis testatora Kajetana Morales, a poniżej data dziewiąty stycznia 1846 r.

Lorenzo machinalnie spojrzał na ten podpis, skreślony grubym okrągłym charakterem, właściwym ludziom nienawykłym do częstego władania piórem i zobaczył wtedy rysujące się pod światłem wyraźnie kontury papierowego stempla z nazwiskiem fabrykanta i datą fabrykacji 1850 r. Zrazu Lorenzo sądził, że wzrok go myli: niepodobieństwem wszak było napisać coś w roku 1846, na papierze, wypuszczonym z fabryki w cztery lata później w 1850 r.

Nagle okropny promień światła rozjaśnił jego umysł i odrazu, bez żadnych rozumowań, ujrzał jasno, jak na dłoni, straszne rozwiązanie zagadki. Zrozumiał, że testament był podrobiony, że ojciec jego był fałszerzem, że był złodziejem i że ten okrzyk, pełen zgrozy, który w chwili śmierci wyrwał się z jego piersi, w połączeniu z imieniem syna, był wyznaniem zbrodni, jękiem spóźnionej skruchy, spuścizną hańby i ohydy, jaką jemu Lorenzowi przekazywał.

Cios był straszny!... Ale nad wszelkimi innymi uczuciami podniósł się z głębi piersi nieszczęsnego młodzieńca nieopisany wstręt, nieprzeblagana wściekłość, względem własnej matki i tej czulej małżonki, która popchnęła do piekła biednego starca, nie pozwalając mu, gdy tego pragnął, wyznać swej zbrodni i zadosyć uczynić sprawiedliwości.

Ach! i właśnie w tej chwili, kiedy Lorenzo odzyskiwał dawną wiarę, szukając w niej pociechy,

wiara stawiała mu przed oczy okropny los potępionej duszy, którą kosztem krwi własnej byłby pragnął odkupić.

Wówczas zapragnął wrócić znów w bezbożność, w zwątpienie bodajby, które w tej chwili wydawało mu się tak pożądanem, bo zostawiającem coś nakształt nadziei.

Ale przez dziwne psychologiczne zjawisko, które go do gniewu pobudziło, wąta jego wiara potężniała w tem udęczeniu; nie chcąc wierzyć, wierzył mimowolnie w to piekło, które przedstawiało się jego wyobraźni w całej swej dantejskiej jaskrawości.

Lorenzo pochwycił się za głowę, zatapiając obie ręce we włosach.

— To być nie może! To być nie może!—szepnął zdławionym głosem.

Wreszcie porwał się i wybiegł na ulicę i o północy nie było go jeszcze w domu. Zaniepokojona donna Tula rozesała służbę, gdzie tylko przypuszczała, że syn jej znajdować się może, ale nie znalazła go nigdzie.

Dopiero około pierwszej wrócił Lorenzo posepny i milczący, ale już spokojny; nie odpowiadając na pytania matki, wszedł do swego pokoju i zamknął się na klucz.

Później dopiero wypadkowo dowiedziano się, że spędził on cały wieczór w domu słynnego misjonarza, który właśnie przybył do X*, aby tam miewać kazania adwentowe.

XI.

W dziesięć dni po śmierci don Benita donna Tula zamówiła wspaniałe nabożeństwo w jednym z odległych kościołów za spokój duszy zmarłego.

Niektórzy z obecnych wyrazili zadziwienie, że egzekwie nie odprawiły się we właściwej parafii. Ale donna Tula ze spuszczonei oczyma i zasmuconą twarzą odpowiadała swym słodziutkim głosikiem owdowiałej turkawki:

— Ach! to rzecz bardzo prosta... Nasz proboszcz jest bardzo dobry, bardzo pobożny! Ale taki ordynarny... taki natrętny... i tak lubiący mieszać się w to, co do niego nie należy, że wolę trzymać go w pewnem oddaleniu... Beni nie lubił go dlatego, a ja chcę we wszystkim stosować się do upodobań mego ukochanego biedaka!... Pragnę, aby jego wola : teraz była szanowaną.

Tu rozplakała się rzewnie wzorowa małżonka, a przyjaciele, aby ją pocieszyć, zaczęli wychwalać chórem cnoty i zalety zmarłego.

Donna Tula otarła oczy i powtórzyła zwykłą swoją zwrotkę:

— To był święty! To był święty!...

Chór zawtórował jej patetycznie; Lorenzo tylko nie wziął w nim udziału. Popatrzył z ukosa na matkę i gorzko się uśmiechnął.

KWOKA.

I.

Eleganckie lando zakreśliło nieprawdopodobny łuk w pędzie i znikło pod starożytnem sklepieniem wjazdowej bramy pałacu Santa Maria. U stóp obszernego przedsionka, konie, umiejętną ręką wstrzymane, stanęły jak wryte, potrząsając postrojonemi głowami i oblewając pianą świecące się, jak srebro, wędzidła.

Wygallowany lokaj zeskoczył zręcznie z kozła, aby otworzyć drzwiczki; stangret zdjął kapelusz z uszanowaniem, nie poruszywszy szyją w tego wykrochmalonym kołnierzu koszuli; portyer pałacowy zadzwonił, oznajmiając w ten sposób na górze przybycie gości, a z powozu wyskoczył angielski małeńki charcik, w srebrnej obróżce i aksamitnym niebieskim płaszczyku. Za nim wyskoczyła młoda dama o złocistych włosach, za nią druga o ciemnych, a nareszcie trzecia, która nie miała ani złocistych, ani ciemnych włosów, tylko, jeżeli się tak wyrazić można, wyblakłe. Charcik wbiegł na schody w podskokach; na pierwszym jednak przęśle zatrzymał się z podniesioną do góry łapką wśród wspaniałych jaпоńskich wazonów. Może zamierzał spełnić jaki czyn niegodny jego srebrnej obróżki i aksamitnego płaszczyka, onieśmielony jednak bezwątpienia herbową

hrabiowską tarczą znakomitego domu de Santa Maria, rysującą się wypukle na ścianie w głębi, poszedł dalej, wspinając się po wązkim kobiercu, który u każdego stopnia przytwierdzony był metalowym, świecącym drążkiem.

Trzy damy postępowały za pieskiem. Złotowłosa poważna i jakby niezadowolona, ciemnowłosa zamyślona, a bezbarwna pełna jakiejś stanowczości. Miała ona już przeszło trzydziestkę, wiek fatalny, w którym płocha piękność, która w piętnastu latach odrzucała pułkowników, wzdycha do tambormajora i wolałaby wszystko raczej, niż opłynąć w dzieciństwie Przylądek Dobrej Nadziei. Pomimo jednak lat swoich, szła podskakując, jak charciki strojąc minki świeżo wypuszczonej ze szkolnej ławki pensyonarki. Nazywała się Ritita Ponce.

Ciemnowłosa, wystrojona jak lalka z żurnalu, była w tym wieku, w którym się odrzuca pułkowników, myśli się bardziej o wyprawie, niż o przyszłym mężu, a w którym ponad wszystkie inne uczucia góruje próżność i zamięłowanie do fatalaszków; ta nazywała się Adelina Peralta.

Co się tycze złotowłosej, ta zaczynała zaledwie piętnasty rok i, chociaż nie odrzucała jeszcze pułkowników i nie wzdychała do tambormajorów, podobalo jej się już jednak różować sobie policzki i siadywać w oknie, oczekując pojawienia się niejakiego Ramira Perez: była, jednym słowem, nieodrodną córką Ewy. Nazywała się Blanquita Pelaez, była kuzynką dwóch poprzednich, wszystkie zaś były siostrzenicami w różnych stopniach jaśnie wielmożnej senory Donny Roży Pelaez Ponce Peralta y Teba, owdowiałej hrabiny de Santa Maria.

— A jeżeli nam odmówi? — rzekła nagle Adelina Peralta, zatrzymując się w połowie schodów.

— Naturalnie, że odmówi—odparła z żywością

Blanquita. — Ja na jej miejscu uczyniłabym to samo.

Usłyszawszy to, idąca naprzód Ritita Ponce, jedynym susem przebyła stopnie, dzielące ją od kuzynki, i rzekła z gniewem:

— Słuchaj-no Blanco, albo bądź cicho, albo wracaj do powozu. Nie potośmy przyjechały tu ścieśnione, jak śledzie w beczce, abyś teraz wszystko popsula.

— Ależ, moja kochana — odparła Blanquita, rozniewana z kolei.—Ja wcale jechać nie chciałam; to tyś mnie przywiozła.

— Dlatego, że jesteś prawem oczkiem cioci Roży i że bez ciebie się nie obejdziałe!—zawołała Ritita, idąc znów naprzód.

Była dopiero jedenasta zrana i pomimo dzwonka portyera, żaden służący nie pojawił się ani w przedpokojach, ani w salonach na przyjęcie wczesnych gości. Wszędzie widać było ten nieporządek, jaki pozostawia po sobie w domu huczna zabawa: meble porozstawiane, świece niepodopalone w kandelabrach, kwiaty, kawałki gazy zaścielały porysowaną posadzkę, a w atmosferze unosił się ten nieuchwytny niesmak i smutek, jakim w świetle popielcowej środy tchną pozostałości minionego karnawału, uczucie podobne do tej dziwnej goryczy, jaką grzech zostawia w duszy, niby nasienie skruchy.

Była to wistocie popielcowa środa, a ubiegłej nocy dawała hrabina ostatni ze swych dwóch balów maskowych, w najwyższym stopniu interesujących. Zaslania nie twarzy było zawsze oznaką wstydlivosti, i w tym roku, na pierwszym balu, pleć mężka, mając sobie widocznie to i owo do wyrzucenia, uznała za stosowne ukryć swe winy pod maską z czarnego atlasu i takżeż domina. Ta jednostajność ubiorów dała pole do omyłek tak zabawnych, do żartów tak

wesołych, że postanowiono uprosić hrabinę, aby w ostatni wtorek dała jeszcze jeden bal maskowy z zamianą ról: to jest, że panowie mieli szukać szczęścia z podniesioną przyłbicą i wynajdywać damy serc swoich wśród uwijającego się dokoła nich roju różowych maseczek i różowych kapturków à la Watteau.

Hrabina chętnie zgodziła się na to pod jednym warunkiem, aby bal skończył się o północy, to jest z chwilą rozpoczęcia się postu.

Zapewne zacna dama lękała się ujrzeć w swych salonach szkieletową postać Pokuty, tak jak ją przedstawia Albert Dürer na swej słynnej akwaforcie, machającą potężnymi dyscyplinami i poprzedzaną przez śmierć, grającą na skrzypcach.

Naturalnie wszyscy przystali na ten warunek, ale pewna partya spiskowców, nie lękająca się fantastycznych widziadeł, pod przewodnictwem Ritity Ponce i jej kuzyna hrabicza Teba, tak umiała pokierować zegarami, że gdy w pałacu wybiła dwunasta, w całym mieście była już godzina druga po północy...

Dobra hrabina nie poznała się na tem; czuła tylko, że jej się bardziej chce spać, niż zazwyczaj, gdy szła do łóżka, i że się niedostatecznie wyspała, gdy przyszło wstawać.

Musiał to więc być ważny powód, który skłonił trzy kuzyki do tak wczesnych odwiedzin, pomimo, że się pokładły spać prawie o świcie.

Minęły już kilka pokojów, nie napotkawszy nikogo, gdy Ritita, dostrzegłszy zdaleka jakąś służącą, zaczęła biedz ku niej, wołając:

— Martino, Martino! Czy pani hrabina już wstała?

— Spodziewam się — odparła służąca, idąc na

jej spotkanie.—O ósmej pani hrabina wróciła już od św. Wincentego po popiele.

— Po popiele?

— Tak, proszę pani! Dziś jest popielcowa środa.

— Prawda! — zawołała Ritita, śmiejąc się jak wariatka. — Ja bo pamiętam tylko, że wczoraj był karnawał! Gdzie jest pani hrabina?

— W swoim gabinecie podpisuje kwity. Czy mam oznajmić?

— Nie, nie! Wejdzimy same pocichutku, na palcach! — zawołała Ribita z figlarną minką podlotka.

I wszystkie trzy zaczęły biedz, a przed nimi piesek, ku okrągłej komnacie, w której hrabina zwykła była załatwiać swoje interesy.

Przez rozchylone portyery widać było siedzącą przy staroświeckim biurku przeszło sześćdziesięcioletnią matronę, wysoką, otyłą z gładko uczesanymi siwymi włosami, skromnie w czarną suknię ubraną. Przed nią leżał stos kwitów, opatrzonych pieczęcią Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, a hrabina wypełniała puste miejsca nazwiskami biednych, które przepisywała z listy, dodając następujące objaśnienia: trzy porcy mięsa, albo: dwie porcy słoniny, albo: cztery porcy grochu i podpisując je w końcu wielkimi literami: Przewodnicząca: Hrabina wdowa de Santa Maria.

Ritita podeszła na palcach i zajrzała przez firanki, a za nią obie jej kuzynki, Blanquita ociągająca się z niechęcią, a Adelina zawsze sztywną jak lalka.

Po chwili Ritita cofnęła się odedrzwi, tłumiąc śmiech; szepnęła coś obu dziewczętom i zbliżywszy się nagle do marmurowego kominka, umaczała palec w wygasłym popiele i zrobiła sobie znak na czole

pomiędzy zdobiacami je przyprawianemi loczkami. Blanka popatrzyła na nią w osłupieniu, a Adelina zaczęła się śmiać, mówiąc:

— Ach! ty, nic dobrego!

— Cicho! — szepnęła Ritita, grożąc jej wachlarzem. — Ciotka ma dobrą minę. Widocznie sprawa zegarowa nie wydała się... Już ja wszystko na siebie biorę, tylko pamiętajcie, potakujcie mi we wszystkim, a jeżeli ciotka...

— Nie, nie, moja kochana! — przerwała Blanka z gniewem. — Ja tam kłamać nie będę.

— Patrzcie, jaka święta! — odparła uszczypliwie Ritita. — „Ja tam kłamać nie będę!” Cóż to, boisz się pójść prosto do piekła, czy co?

— Mniejsza z tem, czego się boję, a czego nie boję; dość, że kłamać nie będę — rzekła Blanka stanowczo.

— Ależ, moja droga, wykap się jutro w wodzie święconej, albo idź do spowiedzi i będziesz zbawiona!

Adelina podniosła oczy w górę, mówiąc pogardliwie:

— Nieznośna rzecz z temi terażniejszymi świętoszkami. Przynajmniej w starożytności takie panie szły sobie na pustynię i zostawiały innych w spokoju. Pocóżes przyjechała, zwierciadło prawdomówności?

— Boście mnie gwałtem zabrały.

— Bardzo dobrze, ale skoro tu już raz jesteś — wtrąciła Ritita, chwytając ją za mantylę — to przynajmniej siedź cicho. Pamiętaj, że jeżeli wyrwiesz się z czem niepotrzebnem, powiem ciotce, że Ramiro Perez już trzy listy do ciebie napisał...

— Ale ja na żaden nie odpisałam — odparła Blanka, czerwieniąc się i robiąc zadasaną minkę.

— Tak, tak, na żaden! Znam ja się na tych

świętościach! — odparła Ritita, wzruszając gniewnie ramionami i następując niechcący na łapkę pieska.

Ten zaskowyczał, a Ritita wykrzyknęła z przerażeniem:

— O, moje biedactwo!

A psiak, utykając na jedną nóżkę, wpadł do gabinetu, szukając schronienia w fałdach sukni hrabiny. Ta podskoczyła na krzesło, rzuciła pióro, w pierwszej chwili odtrąciła zwierzątko, aż poznając je wreszcie przez swoje złote okulary, rzekła zdziwiona:

— Ależ to Nana! suczka Ritity!

Czy jesteś bardzo zbudowany, czytelniku? Nana, a nie inaczej, nazywała się charciczka Ritity... Podarunek jej kuzynka, hrabiczka!

II.

Hrabina Santa Maria była jedną z najotyłszych kobiet na świecie; jej tusza, wcale niedwuznaczny meszek, osypujący jej górną wargę, jej głos głęboki i basowy, zjednały jej wśród żartownisiów miasta X. przydomek Sierzanta Santa Maria.

Pomimo jednak swego męskiego wyglądu, hrabina miała kłliwe, kobiece serce; kieszeń jej zawsze była otwarta, a ręka pochojna do wspomagania nędzy prawdziwej i udanej; dom zaś gotów zawsze na przyjęcie licznych przyjaciół i krewnych; Bóg bowiem, odmówiwszy jej rozkoszy macierzyństwa, udarował ją tak dalece plagą siostrzeńców i siostrzenic, że było tego przeszło dwa tuziny, którzy ubiegali się o zaszczyt nazywania jej „ciocią Rózią.”

Córka jednej z najstarszych rodzin Andaluzji, pędziła życie w zupełnej szczęśliwości i rok za rokiem upływał jej spokojnie i jednostajnie. Wskutek tego dziwnego przeciwieństwa, jakie tak często włąda ludzkim umysłem i sprawia, że składamy naszą miłość własną w tem, co najmniej w nas jest war-te, hrabina miała jedną manię, jaką zrodziła w niej jej szlachetna skłonność do niesienia ulgi nieszczęśliwym i pieszczona wybrańców losu. Jak Neron ambicyonował się w grze na flecie, Richelieu w pisaniu wierszy, tak hrabina chciała gwałtem uchodzić za najnieszczęśliwszą kobietę i mieć prawo, jak druga Di-do, powiedzieć wśród potężnych westchnień, od których aż chwiały się lampy jej gabinetu: *Non ignora mali miseris succurere disco* (Znająca nieszczęście, umiem wspomagać nieszczęśliwych).

Ztąd było dla niej zarówno miłosiernym uczynkiem wesprzeć biedaka, mówiąc mu swoim tubalnym głosem: „Wiem, co to jest cierpieć!” jak wydać bal, wykrzykując z westchnieniem: „Ponieważ sama dużo płakałam, więc chcę, aby się inni weselili.”

Wychowana, z drugiej strony, w tej czystej atmosferze uczciwej kobiety, która z dziewczynki staje się małżonką, a z małżonki matką rodziny, nie zgłębiwszy nigdy mętnych wód mężkiej galanteryi, sądziła, że wszystkie są do niej podobne i patrzyła na bawiącą się w jej salonach młodzież okiem świętej naiwności, powtarzając z westchnieniem:

— Kochane aniołki! Jak to się bawi!... Jakie to wesołe! Takimby dziś był mój biedny Lucio!

Bo hrabina miała w swoim życiu katastrofę, jedyne nieszczęście, którego pamięci nic w jej sercu zatrzeć nie mogło: przedwczesne urodzenie się mężkiego potomka, a raczej projektu na potomka, mającego być przyszlą podporą znakomitego domu de Santa Maria.

Kościół odmówił mu chrztu, jako nieodpowiedniemu ku temu przedmiotowi, ale hrabina dała mu niemniej imię Ludwika, od trzech wieków przystugujące pierwotnym synom domu de Santa Maria, i w wyobraźni swojej ustroiła we wszystkie cnoty i zalety niedoszłego dziedzica tradycyi i dóbr rodzinnych. Od tej pory również przywdziała lekką żalobę i nie zdejmowała jej nigdy, ubierając się czarno na największe uroczystości, a w listach do poufniejszych osób podpisywała się zawsze: Nieszczęśliwa przyjaciółka hrabina de Santa Maria.

Gdy się dołączy do tego patryotyzm (espaniolizm), bardzo rzadki u kobiet jej sfery, i dumę rodową, bardzo pospolitą pomiędzy niemi, oraz szczerą pobożność, zawsze pełną dobrych chęci, choć nie zawsze trafnie skierowaną, nikomu dziwnem się nie wyda, że zacna hrabina zrywała się rano, ażeby iść do kościoła w popielcową środę, po nocy na balu spędzonej, i że obracała wolne swoje chwile na własnoręczne podpisywanie kwitów Towarzystwa św. Wincentego à Paulo.

Te zajęcia, jak wiemy, przerwała jej suczka Ritity, a za nią weszły trzy kuzynki, wołając chórem:

— Dzień dobry, ciociu! Czy ciocia już wypo-częła?

Hrabina zdjęła złote okulary, i rzekła swym głębokim, basowym głosem:

— Cóż to znaczy? Takie dziś z was ranne ptaszki?

— Ranne ptaszki? — powtórzyła Ritita, ucałowawszy hrabinę w oba policzki i siadając u jej stóp na małym stołeczku.—Jeżeli to się nazywa być rannemi ptaszkami, to cóż ciocia powie, gdy się dowie, że już o ósmej byliśmy u świętego Izydora na po-piele...

Blanquita przezegnała się z osłupienia, słysząc to zuchwałe kłamstwo, a Adelina, pociągnawszy ją za mantillę, dodała z zupełną swobodą:

— Widzi cioteczka, że dobrze czasu używać umiemy.

Hrabina uśmiechnęła się, zachwycona pobożnością swoich siostrzenic, i spostrzegłszy znak, jaki sobie Ritita zrobiła na czole, wykrzyknęła śmiejąc się, w sposób przypominający basistów:

— Ha! ha! ha! A ksiądz poznał, z jak dobrą owieczką ma do czynienia, i naznaczył ją sobie! Przejrzyj-no się w lustrze, Kochanko, przejrzyj się!

Ritita wyciągnęła szyję, aby przejrzeć się we wspaniałem zwierciadle, zdobiącym marmurowy komin i obcierając czoło chusteczką, rzekła oburzona:

— Nie dziwi mnie... Potrzebowałabym całego worka popiołu, ażeby się dziś upokorzyć. Powiadam cioteczce, że całej nocy spać ze złości nie mogłam.

— Ze złości? Cóż cię tak rozgniewało, Kochanko?

— Co? A któżby, jeżeli nie ten szkaradny zwłószczczył gubernator. On to mnie tak rozgniewał, a i wszystkich także, którzy wczoraj byli u cici na balu.

— Ale coż się stało?! — wykrzyknęła hrabina zdumiona. — Mów-że wyraźniej, bo nic nie rozumiem.

— Nic, nic się nie stało! — odrzekła Ritita z grzeczną ironią. — To tylko, że ten gubernator Sancho Pancho powiedział wczoraj publicznie w Kasyńce, iż założy się o swoją gubernatorską godność, że nie będziemy już więcej tańczyć hiszpańskiego menueta. Że to była manifestacja przeciw konstytucyjnej władzy i że on jest w prawie kazać zaprowadzić hrabinę de Santa Maria do więzienia!

Należy tu nadmienić, że w owej epoce zasiadał na tronie Amadeusz włoski, i że arystokracja hiszpańska, niechętnem okiem patrząca na intruza, okazywała mu to, nie mogąc inaczej, gorliwym przestrzeganiem krajowych obyczajów i mody. Damy powywłóczyły z graciarni dawno zarzucone wysokie szyldkretowe grzebienie, nosiły na głowach koronkowe mantille, a w rękach olbrzymie wachlarze; najzagorzalsza zaś młodzież tańcowała na balach menueta à la espannola, którego skoki i piruety, godne dworu Karola III-go, powinny były niechybnie wstrząść tronem Amadeusza i kazać mu drzeć o swoją przyszłość wobec tego choreograficznego patryotyzmu.

— I zakuć ciocię w kajdany — dodała Adelina z największą pewnością siebie, poprawiając kołnierz z łabędziego puchu pod mantillą.

Hrabina aż poczerwieniała z gniewu, jak gdyby andaluzyjska krew stu pokoleń Santa Mariów uderzyła jej wszystka do twarzy; a Ritita, bojąc się, że kuzynka nadto się zagalopowała, dorzuciła zmieszana:

— No, co się tycze kajdan, to nie jestem pewna, czy to powiedział.

— Tak, tak! Zakuć w kajdany, powiedział — potwierdziła Adelina energicznie.

— Co to znaczy? Może młodzież dopuściła się jakiej lekkomyślności w bufecie? — rzekła wreszcie hrabina, nieco zestraszona. — Zadzwoń, Blanko, powiedz Martinie, ażeby natychmiast poprosiła don Recareda. Bardzo być może, iż szampan nadto im rozwiązał języki. Don Recaredo będzie coś o tem wiedział...

Don Recaredo był powiernikiem i zaufanym przyjacielem hrabiny i jemu powierzała ona nad-

zór nad złotą młodzieżą, uczęszczającą na jej salony...

— Nie, cioteczko, nie!—zawołała Ritita.—Kiedy to było przedtem. Cała rzecz w tem, iż gubernator wścieka się, iż ciocia nie chce u siebie przyjmować jego córki, i że my się z tą hiszpańską włośką wdawać nie chcemy.

— Ależ, na Boga!—wykrzyknęła hrabina z oburzeniem.—W jakimże kraju żyjemy? Więc ja nie mogę wyprawić balu w moim domu, jeżeli mi się podoba, ażeby jakiś gubernator z końca świata nie uważał się w prawie zakuć mnie w dyby? Hola! Zobaczmy, mój panie, zobaczymy!

I hrabina, wyobrażając sobie, że zmiażdża gubernatora, zmiażdżyła potężną swą pięścią kwity Towarzystwa świętego Wincentego. Obie kuzynki zamieniły pomiędzy sobą szybkie spojrzenia, a Ritita dodała z uniesieniem:

— To, to, ciociu Róziu! I ja to mówię! Ząb za ząb! Niech pozna, z kim ma do czynienia.

— Tegoby tylko brakowało!—ciągnęła dalej hrabina w najwyższym oburzeniu—żebym ja poddawała pod sąd jakiegoś tam przybłądy, co się ma tańczyć, a co się niema tańczyć w moim domu! I ci liberaliści z końca świata będą potem piorunowali na Inkwizycję. Otóż oświadczam, że będzie się tańczyło menueta, a i fandanga, jeżeli o to chodzi. I będzie się tańczyło à la espannola, ze wszystkimi szykanami, a jeżeli mi się tak spodoba, ja sama się przebiorę za mameluka! Proszę! Jeszczeby tego brakowało!

Blanquitę zdjął taki śmiech na myśl, jakby wyglądała monumentalna hrabina de Santa Maria przebrana za mameluka, że parsknęła głośno, ku wielkiemu zgorszeniu Ritity.

— Czego ty się śmiejesz?—zapytała uszczypliwie ta ostatnia.—Także pora po temu.

— Bo ciocia powiada, że się przebierze za mameluka!—wybelkotała Blanquita, wybuchając jeszcze hałaśliwszą wesołością.

— Zostaw ją, niech się śmieje!—rzekła hrabina, sama usiłując się śmiać.—Rzecz cała warta śmiechu. I ja sobie drwię z pogrózek tego gubernatora... Owszem, niech się zakłada... Zobaczmy, co na tem wygra?

Obie kuzynki spojrzwały znów na siebie, jakby mówiąc: „Teraz pora!”

A Ritita odezwała się z żywością:

— Właśnie, cioteczko, właśnie! Trzeba koniecznie dać drugi bal.

— I tańczyć menueta, choćby sam gubernator przyszedł mu się przypatrzeć.

— Ładnie go przyjmujemy. Odechce mu się na przyszłość wtrącać do tego, co do niego nie należy.

— Tak, tak! Trzeba koniecznie dać drugi bal. To kwestya gabinetowa!

— Kwestya honoru domu!

— Ale kiedy?—zawołała hrabina.—Przecież to post teraz?

— Kiedy? W niedzielę środopostną!—wykrzyknęły razem obie kuzynki z chciwością gracza, który ryzykuje ostatnią stawkę.

Hrabina otworzyła usta, aby odpowiedzieć; obie panny wyciągnęły szyje, aby ją usłyszeć, gdy wtem wszystkie trzy oniemiały.

Do gabinetu, nie oznajmiony przez nikogo, wszedł ksiądz w podeszłym wieku, utykający lekko na nogę, z okularami na końcu nosa. W lewej ręce trzymał wielki filcowy kapelusz, a prawą, wzniesioną trochę ku górze, żegnał na wszystkie strony.

Ciotka i siostrzenice popatrzyły na niego zdu-

mione i przez chwilę słychać było tylko stłumiony chichot Blanquity, która wciąż wyobrażała sobie ciocię Rózię przebraną za mameluka i prowadzoną środkiem miasta z wielką paradą do więzienia. Ritita wstała gwałtownie z taborecika i poszła usiąść w kącie pokoju, mnąc z gniewem swą batystową chusteczkę.

— Ależ, Don Rufino! — rzekła wreszcie hrabina wpół zdumiona, wpół rozgniewana, przerywając milczenie. — Czy zrobili was biskupem, czy też poprostu polujecie w ten sposób na muchy?

— Biskupem, mnie? Pani hrabino! — odpowiedział ksiądz skruszonym tonem, który pobudzał do śmiechu. — Jezus Marya, co za myśl! Biskupem biednego klasztornego kapłana.

— Skoro ksiądz wchodzi, rozdając błogosławieństwa...

— To dlatego, żeby wystraszyć jakiego dyabła z tych, co tu na wczorajszym balu być mogli, jeżeli się jeszcze gdzie zawieruszył. Dlatego jedynie. Niech mi pani hrabina wierzy, że nie dla czego innego.

Ta odpowiedź kapelana nie podobała się hrabinie i rzekła szorstko:

— Cóż to, Don Rufino? Myślicie, że w moim domu obraza Pana Boga? Jakiegoż rodzaju ludzi, zdaje wam się, przyjmuje u siebie w domu?

— Jezus Marya, Panno Przczysta! Pani hrabino, co za myśl? — odparł ksiądz, siadając najspokojniej. — Któż to mówi? Czy wiem, jakich ludzi przyjmuje pani hrabina? Spodziewam się... Każdy z nich musi mieć jakiś tytuł.

Chichot Blanquity dał się znów słyszeć i umilkł pod piorunującym spojrzeniem ciotki. Mnich tymczasem obciągnął sobie habit na kolanach, położył na nich swój filcowy kapelus, a na nim splecione po-

bożnie ręce i utkwivszy ponad okularami swój wzrok przenikliwy, jak ostrze lancetu, w trzech kuzynkach, rzekł spokojnie swoim żałośliwym głosem:

— Ależ tak, pani hrabino! Czytałem kiedyś w jakiejś starej książce, że dyabeł nie opuści ani jednego balu... Widocznie taniec mu smakuje. A jeden ze świętych pustelników widział raz, że każda dama, idąca na bal, niosła dyabła, ukrytego w fałdach swej sukni. Otóż gdym tu wszedł, powiedziałem sobie: Bóg wie, ilu ich tam spadło w tańcu i pod meblami zostało. Tymczasem kilka krzyżyków może dom oczyścić, i oto dlatego rozdawałem je po drodze na wszelki wypadek.

Blanquita zachichotała znów, a hrabina wykrzyknęła rozgniewana na dobre:

— Jakaż ona nieznośna ta Blanka! Czy można wiedzieć, czego się śmiejesz?

— A bo ciocia mówiła, że się przebierze za mameluka!...

— Cicho! — krzyknęła hrabina tak groźnie, że biedna Blanquita aż podskoczyła na krześle.

Mnich popatrzył na nią z ponad okularów i odrzekł:

— Niech jej się pani hrabina wyśmiać pozwoli. Toż to wiek po temu.

I patrząc na Rititę w ten sam sposób, dodał:

— Widzi pani hrabina, jaka jej mama jest poważna.

Teraz przyszła kolej na Rititę podskoczyć na krześle na to niespodziewane zaliczenie jej do kategorii mam. Spasowała, jak rak ugotowany, i ze złości rozdarła swą batystową chusteczkę.

— Co wy mówicie, Don Rufino, o matkach i córkach? — rzekła hrabina niecierpliwie. — Czy nie znacie Ritity, mojej siostrzenicy? córki mojego brata ciotecznego, Klaudya?

— Doprawdy! — wykrzyknął Don Rufino zdumiony. — Ktoby się był spodziewał! Jezus, Panno Przczysta, jakże wyrosła!.. Jakże się pani miewa, donno Ritito? Jakże zdrowie ojczulka? No, proszę, przysiągłbym, że to wczoraj, jakem się dowiedział o jej urodzinach, a to przecież trzydzieści pięć lat, jak obszył.. Pamiętam doskonale, było to w tysiąc osiemset trzydziestym szóstym roku, w maju, dnia...

Ritita wstała nagle, jakby kto stos Volty pod nią podłożył i gniołąc, w dłoni podartą chusteczkę, rzekła głosem hamowanego gniewu:

— Do widzenia, ciociu! Pójdę do ogrodu zobaczyć pawie.

— Dobrze, moja droga, i niech Adela i Blanka z tobą idą—rzekła śpiesznie hrabina.—Mam do pomówienia z Don Rufinem.

Trzy kuzynki wyszły razem i co zaszło między niemi, o tem milczą kroniki.

— Na miłość boską, Don Rufino, zechcicie mi powiedzieć, co wam zawiniłam, że musicie zawsze wyrządzić jakąś przykrość każdemu, kogo spotkacie w moim domu!—zawołała hrabina, nie posiadając się z gniewu.—Niedawno naraziliście się don Ricardowi, dziś Riticie.

— Ja, pani hrabino, ja?

— Tak; wy, Don Rufino; wy, choć macie taką minę. jak gdybyście trzech zliczyć nie umieli. Ile razy was widzę wchodzącym, zawsze drzę w obawie jakiejś nieprzyjemności.

Mnich uśmiechnął się nieznacznie, ale odpowiedział swoim najbardziej skruszonym tonem:

— Boleję nad tem, pani hrabino, a dziś, to przyszedłem dlatego, że matka przeorysza..

— Posłałam jej dwadzieścia pięć dolarów na budowę chóru. Ale zostawcie w spokoju przeoryszę, Don Rufino i odpowiadajcie na moje pytanie.

— Właśnie też dlatego, że pani hrabina w liście pisała, że posyła dwadzieścia pięć dolarów, a przysłała pięćdziesiąt, więc przyszedłem zwrócić nadwyżkę pani hrabinie.

I kapłan, mówiąc to, wręczył jej woreczek pełen złota.

— Niech zostaną na wino do mszy. A wy, Don Rufino, zagadujecie próżno. Co znaczyła ta komedia wyświęcania dyabła z mego domu?

Mnich podniósł w górę brwi, uśmiechnął się znów znacząco i odpowiedział z najniewinniejszą w świecie miną:

— Powiedziałem już przecie pani hrabinie.. Na wypadek, gdyby się tu jaki dyabeł zawieruszył..

— Nie udawajcie niemądrego, Don Rufino, znamy się od zbyt dawna na to.. Zawsze dajecie mi jakieś przytyczki z powodu moich balów i zabaw. W jakiejże to starej księżce wyczytaliście, że dyabeł nie opuszcza żadnego balu?

Don Rufino klapnął się po łysinie i odpowiedział z powagą:

— W tej, która ma już siedemdziesiąt dwa lata druku.

— Ale jakie wy macie wyobrażenie o balach, Don Rufino? Widzieliście jaki bal w swoim życiu?

— Z prawej strony żadnego, ale z lewej wiele.

— Zechcicie mi więc powiedzieć, jeżeli łaska, jaka to jest prawa, a jaka lewa strona balu?

— Prawa strona jest ta, którą pani hrabina widuje w swoim domu; lewa ta, którą ja widuję w konfesyonale.

Hrabina milczała przez chwilę zamyślona; poczem, uczyniwszy głową ruch wątpliwy i lekko pogardliwy, rzekła:

— Widzę, że nie znacie rodzaju towarzystwa, jakie ja u siebie przyjmuję.

— Przypuszczam, że są to kobiety i mężczyźni...

— Naturalnie, że nie koty i nie kotki.

— Widzi pani hrabina. A ponieważ to są kobiety i mężczyźni, więc pozwolę sobie pani hrabinie przypomnieć naszą starą przypowiestkę:

Entre santa y santo
Garde de cal y canto.

(Pomiędzy świętą i świętym ściana z wapna i kamieni).

— Takim sposobem, podług tej starej książki, w której czytacie, Don Rufino, należałoby w salonach wznosić przepierzenia, rozdzielające obie plicie.

— Właśnie, pani hrabino!

— Ale po co? Dlaczego?

— Dlatego, że nieprzyjaciółmi duszy są: świat, dyabeł... marcepany.

Hrabina zamyśliła się po raz drugi, jakby usiłując odgadnąć ukryte znaczenie słów kapelana; on zaś, zmieniając nagle ton i wyraz twarzy, mówił dalej z przekonującą siłą:

— Czy wdziałaś, pani hrabino, te jabłka, które rosną nad brzegami morza Martwego? Skórkę mają złocistą i błyszczącą, a wewnątrz gorzkie i cuchnące próchno. Otóż pani widzisz skórkę w swoim domu, a ja widuję próchno. Skórką są konwernanse światowe i eleganckie obejście, tak dobrze umiejące przesrzczać pozorów; próchnem niezliczone obrazy Boga, które się popelniają wewnątrz?

— Boże Wszechmogący! Co mówicie, Don Rufino?

— To, co pani słyszysz, pani hrabino! Gdyby ci wszyscy, którzy się zbierają na twoich balach, mieli wypiętnowane na twarzach to, co w sercach

noszą, idę o zakład sto przeciw jednemu, że zacna chrześcijańska matrona, hrabina de Santa Marya, zamknęłaby im drzwi przed nosem. Gdyby wszystkie te biedne dziewczęta, które tu dla zabawy dążą, mogły choć na chwilę przeniknąć myśli nadskakujących im młodzieńców, jestem pewien, że większość ich uciekłaby przestraszona.

— Ależ, Don Rufino, takie rzeczy mogą się zdarzać między pospółstwem, ale nie w towarzystwie tak dobrze wychowanych osób, jakie ja u siebie przyjmuję.

— Pani hrabino! Porcelana japońska robi się z tej samej gliny, co kuchenne garnki.

— Ależ na miłość boską, nie przesadzajmy, Don Rufino! Jakież pojęcie macie o tem, co jest młody człowiek dobrego domu, młoda przyzwoita panienska i co jest takie niewinne zebranie, na którym bawią się młodzi!

— Czy pani hrabina chce, abym jej to powiedział jasno, bez ogródkki?

— Ależ, naturalnie! Nadewszystko lubię dwie rzeczy: jasno postawioną sprawę i gęstą czekoladę.

— Uprzedzam, że dotknie to panią hrabinę do żywego.

— Don Rufino!—rzekła hrabina z pewną żałosną godnością.—W mojem nieszczęśliwym życiu przeszłam przez ciężkie próby i umiem je znosić. Gdy śmierć mego biednego syna Ludwika...

Mnich, widząc, że hrabina, pomimo całej ważności przedmiotu, gotowa go uraczyć zaimprovizowanym naprędcie życiorysem niedosłego swego potomka, pośpieszył przerwać jej z żywością:

— Posłuchaj więc, pani hrabino, i nie przerażaj się. Wszystkie te zebrania u nas, mające na celu

zabawę młodzieży, nie są zlemi same przez się... Ale wiesz pani, w co je ta sama młodzież zamienia? Oto w świetne ogniska prostytucji moralnej, w których nie kalają się ciała, bo to nie jest możliwe, ale kalają się dusze... Ach! i jak jeszcze!

Ku temu dąży większość tych pięknych młodzieńców, z których każdy wydaje się pani hrabinie Ludwikiem Gonzagą. A teraz niech pani hrabina osądzi, jaką rolę w tem gra osoba, uczyszająca swego domu ku tym niewinnym celom... Zwłaszcza, jeśli to jest poczciwa staruszka, która nic na tem nie zyskuje...

Hrabina przygryzła sobie usta i poruszyła się w fotelu, jak gdyby ją kto rozpalonem żelazem do żywego przypiekił, ale mnich, nie dając jej dojść do słowa, ciągnął dalej z tą samą żywością:

— Co się tycze kobiet, to rzecz inna, i te dają się podzielić na trzy grupy. Są takie, ku hańbie płci swojej, które w niczem nie różnią się od mężczyzn, o jakich wspomniałem, chyba w tem, że są większemi hipokrytkami: mężatki z obawy skandalu, który wcześniej, czy później na wierzech wyjdzie; panny z obawy stracenia jakiego naiwnego męża, który im potem za przyzwolony parawan będzie służył... Są inne, i te są najliczniejsze, których na te zebrania nie ciągnie zmysłowość, lecz próżność; nie przychodzą, aby widzieć, ale aby być widzianemi, aby zaprezentować nową suknię, lub cenne brylanty, błyskotki, aby się nalykać pochlebstw i obudzić zazdrość. Te nie są złe; są tylko niemądre! I są wreszcie takie, jak to biedne dziewczątko, śmiejące się tu przed chwilą, które idą na bal dlatego, że je tam prowadzą. Te są niewinnemi narzędziami, jakimi posługuje się szatan do swoich celów; są to biedne amorki, które igrają z zepsuciem z taką nieświadomością, z jaką dziecko igrałoby z jadowitym wężem, coby je swemi błyszczącemi kręgi opasał. I chcesz, pani

hrabino, aby ci więcej powiedzieć? Oto z liczby tych ostatnich nie wyszłaś pani jeszcze, pomimo swoich sześćdziesięciu kilku lat. I to, co zkadąd taki zaszczyt ci przynosi, sprawia, że jesteś tak nieszczęśliwie zaślepiona, bo nie ma cnoty, choćby najpiękniejszej, która nie na czasie i nie na miejscu nie mogłaby się przerodzić w występki, a i naiwność i łatwowierność, pomimo, że tak urocze są rodzenemi siostrami głupoty... Tak, pani hrabino, głupoty!

Hrabina chciała coś odpowiedzieć, ale głos prosto uwiąził jej w gardle, a mnich, korzystając z tego, ciągnął dalej:

— Wszystko to razem świat nazywa niewinną kokieterią, flirtem, szumieniem młodości i tak dalej. Ale moralność, pani hrabino, ale prawa boskie, które potępiają tak samo grzech czynu, jak grzech myśli, tak samo grzech tego, który do niego doprowadza, jak tego, który go popełnia, nazywają to libertynizmem umysłu... prostytucją dusz... Wybieraj teraz, pani moja, jakim z tych dwóch światów chcesz oświetlić swoje salony? Jeżeli światem świata, zostaw je otwarte, bo świat, pomimo swej złośliwości, mało lub nic nie znajdzie do zarzucenia według swego krytycyzmu. Jeżeli światem Boga, zamknij je, pani, natychmiast, bo ukazałoby się wtedy w niem wiele zdrożności.

Hrabina odetchnęła mocno, jak gdyby jej tchu w piersiach zabrakło, a mnich mówił znów:

— Powiesz mi pani, że tysiące względów towarzyskich domagają się wzajemnej tolerancji dla podobnych stosunków pomiędzy mężczyznami a kobietami? Nie przeczę temu wogóle, chociaż przeczę stanowczo w większości wypadków konkretnych; ale skoro przewrotność ludzka czyni z tych stosunków prawdziwą prostytucję moralną, sumienie nakazuje podciągnąć je pod prawo wszystkich innych prostytucji... A czy wiesz, pani hrabino, że moralisci,

którzy nie zaprzeczają państwu prawa tolerancyi dla domów rozpusty, zabraniają pojedynczym jednostkom wynajmować swoje domy na ten wstrętny użytek, bez powodów nader ważnych, rzadko się trafiających. A jednak, ciężko to powiedzieć, nie mniej prawdą jest, że z pewnem zastrzeżeniem, dom twój, pani hrabino, ten właśnie charakter na sobie nosi... Ciężko to powiedzieć, bardzo ciężko! Okropnie słyszeć! Nie przeczę! Ale niemniej prawdą to jest, co mówię, pani hrabino, prawdą naga, pozbawioną wszelkich okraszających ją obłonek. A jeżeli pani w to wątpisz, to spytaj nie tych, którzy są po większej części tak zaślepieni, jak pani, ale spytaj tych, którzy patrzą na tę komedję z po za kulis!

Tu umilkł Don Rufino i rękawem habitu zaczął wygładzać nastroszoną powierzchnię swego filcowego kapelusza.

Hrabina chciała przemówić i wydała tylko jęk stłumiony; chciała odetchnąć i zakaszła się. Podniosła wreszcie obie ręce do głowy i z sinemi plamami na twarzy wykrzyknęła urywanym głosem:

— W życiu mojem nie słyszałam podobnych bezecenstw. Zawsze myślałam, że z was wielki dziwak, Don Rufino! Ale nie przypuszczałam nigdy, aby człowiek tak rozumny, tak cnotliwy, noszący ten strój, człowiek, który od czterdziestu lat bywa w moim domu, mógłby znieważyć mnie do tego stopnia...

— Pani hrabino, zapytywałaś mnie pani, a ja odpowiedziałem... Jakaż w tem moja wina, że niektóre prawdy wyglądają jak zniewagi?

— Poskarżę się arcybiskupowi! Tak, poskarżę się arcybiskupowi! — wykrzyknęła hrabina.

I burza, nurtująca w jej piersiach, rozplynęła się w łzach gorących.

Mnich wstał i przybierając raptem swą głupowatą minę i swój ton skruszony, zapytał:

— Nie da mi pani hrabina żadnego polecenia do matki przeoryszy?

— Żadnego, żadnego... — wybełkotała hrabina

— Niech więc pani hrabina zostanie z Bogiem, a gdy zbędzie chwileczka czasu, proszę sobie przeczytać historję „Gil Blasa” i „Arcybiskupa z Grenady.”

I powiedziawszy to, skierował się ku drzwiom, utykając.

Zaledwie wyszedł, w sąsiednim salonie rozległ się głos bezdźwięczny, wołający z czułością:

— Sennor Don Rufino! mój przyjaciel i dobrodziej! Książd tu! I odchodzi, kiedy ja wchodzę... niewdzięcznik! Ale na miłość boską, włóćcie kapelusz, Don Rufino! Tu są okropne przeciągi... A przeciągi to zdradliwa rzecz... Książd wie, co dyabeł powiedział Lutrowi: „Lutrze, strzeż się przeciągów, bo mi cię zabraknie!”

Głos przycichł na chwilę, jak gdyby właściciel jego oddalił się, przeprowadzając Don Rufina, a wkrótce potem ukazał się w gabinecie w towarzystwie młodego porucznika huzarów, łysiuteńki jegomość, który wszedł, mówiąc z giestem Cycerona w senacie rzymskim:

— Hrabino! Katylina u bram Rzymu.

I zamieniając chropawy ton wojennej trąbki na słodkie dźwięki sielanki, dodał, wskazując na trzy kuzynki, które w tej chwili wchodziły przeciwnie do drzwi:

— Ale któż się lęka Katyliny, skoro są tu trzy Gracye: Agale, Pasilea i Eufrozyna.

Był to Don Recarado.

IV.

Don Recaredo nie nazywał się ani Guzman, ani Ponce de Leon, ani Fernandes de Cordoba; nazywał się poprostu Conejo¹⁾. Za ten brak harmonii, za ten przeskok gwałowny od imienia do nazwiska historia winić go nie może; była to wina jego rodziców chrestnych, którą ten zacny mąż naprawiał, jak mógł, podpisując się: Recaredo de los Conejos.

Tymczasem ojciec jego był zwyczajnym Conejo; tak samo dziadek i pradziadek; ale co ci zacofani i prostoduszni ludzie znosili, tego w żaden sposób ścierpieć nie mógł ich postępowy i tak szlachetnem imieniem obdarzony potomek.

Był więc de los Conejos i koniec.

Niezależnie od tego nazwiska, które, acz piękne, nie byłoby mu dostatecznie utoroowało drogi w świecie, Don Recaredo uznał za stosowne uczyć się klamki znakomitego domu de Santa Maria.

Za życia hrabiego znosił jego wszystkie imperyjnencye polityczne, z walki stronnictw wynikające; a teraz w dalszym ciągu znosił domowe impertynencye hrabiny, która powierzyła mu ogólny nadzór nad swemi salonami, a specyalnie nad całą gromadą swoich synowców i synowic, siostrzeńców i siostrzenic. Pierwsze przyniosło mu skromny urząd w Banku Państwa; drugie zapewniało mu potężne poparcie hrabiny przy wszystkich zmianach ministerium. Wdzięczny Don Recaredo przy każdej takiej okoliczności pisywał elegie na przedwczesną śmierć Lucia,

¹⁾ Conejo (Conecho) znaczy królik. (Przyp. tłóm.).

a hrabina zbierała je wszystkie i przechowywała w osobnym albumie.

Bo Don Recaredo był poetą, i to poetą erudytą; umiał na pamięć „Sztukę mówienia prozą i wierszem” Hermosila i czytał dziennie dziesięć stronic „Wielkiej Encyklopedyi,” a zebranemi ztamtąd wiadomościami lubił popisywać się w świecie, nie bacząc, czy je właściwie stosuje.

Rozmawiano naprzykład o wyższości szynek marynowanych nad wędzonymi, gdy wtem Don Recaredo, udając roztargnionego, odzywał się nagle:

— Mówicie państwo o Babilończykach?

— Ależ nie... Mówimy, że kiebasy z Estramadury...

— Byłbym przysiągł, że słyszałem coś o Babilończykach. Ale gdy już mowa o nich, trzeba państwu wiedzieć, że upadek tego potężnego państwa...

I tu recytował Don Recaredo wszystko, co tego dnia wyczytał o panowaniu Semiramidy, utrwalając za każdym razem bardziej swoją sławę erudyty. Zadowolony z tych skromnych tryumfów, dzielił swój czas pomiędzy muzy i bank państwowy, poświęcając resztę czasu na pogodzenie dwóch sprzecznych końców pewnego zagadnienia towarzysko-hygienicznego, króre było ważniejsze dla niego, niż kongres weroński; a mianowicie: obawy kataru i zamilowania grzeczności.

Pierwsza nakazywała mu uważać przeciagi i chłodne wietrzyki za najzaciętszych nieprzyjaciół Adamowego rodu; drugie skłaniało go zdejmować na ulicy kapelusz aż do stóp, gdy jaka dama skinęła mu główką z powozu.

Don Recaredo był grzecznym nawet względem samego siebie tak dalece, że gdy sam gdzie wchodził, usuwał się machinalnie na bok, jak gdyby

ustępując swemu cieniowi zaszczyt pierwszeństwa w przekroczeniu progu.

Gdy z biegiem czasu Don Recaredo zaczął łysieć, zadanie to stało się jeszcze trudniejszym do przeprowadzenia. Jak tu narażać się na zapalenie płuc, a przynajmniej oskrzeli, odkrywając na ulicy głowę, na której zwolennicy metody Galla byliby mogli śmiało czynić swe spostrzeżenia, studyując wszelkie pagórki i wklęsłości tej rozpaczliwie nagiej czaszki; a z drugiej strony, jak wyrzec się tego wykwintnego sposobu okazywania swego kultu dla płci pięknej?

Don Recaredo stracił resztę włosów, mozolać się nad wynalezieniem jakiegoś pośredniego sposobu; wreszcie, wykrzyknąwszy: „Eureka!” co od czasów Archimedesza oznajmiało zawsze ważne odkrycie, postanowił, wychodząc na ulicę, kłaść perukę, a wchodząc pod dach, zdejmować ją razem z kapeluszem, zabezpieczając w ten sposób głowę przeciw zbyt-czemu się jej rozgrzaniu.

Śmiała się bardzo powierzona jego opiece złota młodzież, widząc wciąż perukę don Recadera, wiszącą w przedpokoju pałacu de Santa Maria, na podobieństwo zakrwawionego skalpa, zdobiącego wigwam jakiegoś czerwonoskórca.

Ale don Recaredo nie zważał na to, a jego wiara w nieomylność tej higienicznej prezerwatywy doszła do zenitu pewnego dnia, gdy wertując Encyklopedyę, trafił na opis śmierci Eschyleśa. Przechadzał się wielki dramaturg grecki nad brzegiem morza, z rękami w tył założonemi, wystawiając na igraszkę wiatru swą łysą głowę, w której urodził się „Agamemnon i Eumenidy.”

Orzeł, który porwał był żółwia i trzymał go w szponach, krążył w powietrzu, szukając wygodnego miejsca na uraczenie się swoją ofiarą; łysa głowa poety wydała mu się czubkiem marmurowej skały,

upuścił więc na nią żółwia, kończąc w ten tragiczny sposób żywot chluby Aten.

Don Recaredo uderzył dłonią w książkę i zawołał z wystraszoną miną człowieka, który uniknął wielkiego niebezpieczeństwa.

— Patrzcie, potrzeba mu było spacerować po ulicach z odkrytą łysiną! I oto, kiedy się najmniej tego spodziewasz, nadlatuje ptaszek i klap! — spuszcza ci na łeb żółwia! Alboż to nie widziałem na Giraldzie ptaków, zdolnych łódkę z brzegu porwać! Matka Boska się mną opiekuje. Ona to mnie natchnęła myślą peruki.

Biedny don Recaredo! Zdaje mi się, że widzę jeszcze jego okrągłą twarz, oprawioną w ramki małych, siwych faworytów, jego pocziwe oczy, jego zaczerwieniony nos, niesprawiedliwego potwarcę jego wstrzemięźliwych upodobań, jego usta zawsze w ruchu, i płynący z nich źródł mądrości, z Wielkiej Encyklopedyi czerpany.

A jednak don Recaredo już nie istnieje. Ziemia zabrała piewce niedoszłego Lucia, a imię jego nie zapisało się na Parnasie. Grób pochłonał wierne-go urzędnika banku, który mu zato nawet tablicy pamiątkowej nie postawił.

Niech ta podwójna niewdzięczność usprawiedliwi to przydługie zatrzymanie się nad postacią don Recareda.

Inaczej czytelnik nie zrozumiałby tej pobłażliwej sympatyj, jaką się odczuwa względem takich zabawnych pocziwców, którzy wielokrotnie pobudzali nas do nerwowego śmiechu. Gdy lata zaczynają w coraz większą dal wydłużać nam przeszłość, doznaje sobie jakiejś smutnej przyjemności w przypominaniu sobie osób, które nam znaczą, jak kamienie przy-

drożne, jakie za sobą zostawia wędrowiec, ścieżkę naszą przez dolinę łez.

A gdy dokoła siebie widzi się same tylko okropności, niedole i ohydy, znękany wzrok zatrzymuje się chętnie nawpół łzawy, nawpół uśmiechnięty na tych typach, które z największą uczciwością łączą najniewinniejsze śmieszności...

V.

Adelina i Ritita weszły z oczami utkwionemi w hrabinę i spojrzały po sobie zdumione; spostrzegły burzę, malującą się na okrągłym, jak księżyc, obliczu zacnej matrony. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że don Rufino uniósł w swoich szponach obietnicę balu w środopieście, którą z taką zręcznością udało im się wymóżyć na hrabinie.

Młody huzar zbliżył się do hrabiny i wyciągając poufale rękę, zagadnął:

— Co słyhać, ciociu Róziu?

Jego ubiór wojskowy przypominał hrabinie owych Ludwików Gonzagów, z których okrutny don Rufino tak nielitościwie zdarł ich mityczne osłony i odpowiedziała sucho:

— Nic, Candideto.

Huzar zbliżył się wtedy do panien, witając je ze swobodą kuzynka, i przez chwilę cicho rozmawiał z Rititą; ona robiła jakieś gniewne minki i wstrząsała przecząco głową, zasłaniając się wachlarzem; on chciał jej odebrać piórko pawie, które trzymała w ustach w rodzaju papierosa; ona go uderzyła wa-

chlarzem, on się zaczął śmiać; ona wydobyła z za gorsu liścik, on go pochwycił...

W tej samej chwili zwróciła się ku nim Blanquita, ale już Ritita i Candideto, przypadkowo się z zachwytem obrazowi, wyhaftowanemu różnokolorowymi perłami, który wisiał na ścianie.

Był to bardzo ciekawy obraz: haftowała go hrabina przed trzydziestu laty, a przedstawiał murzynkę, pałacą fajkę.

Ritita odezwała się do Candideta:

— Patrz, patrz, jak ona pali!

— Czy chcesz się nauczyć haftować, Candideto?—zapytała Blanquita złośliwie.

— Jeżeli ty, kuzynko, podejmiesz się zostać moją nauczycielką, obiecuję wyhaftować ci parę pantofelków—odpowiedział huzar.

Tymczasem don Recaredo, postąpiwszy parę kroków naprzód, powtórzył znów swój okrzyk wojenny:

— Katylina u bram Rzymu!

Hrabina, która była bardzo umiarkowaną erudytką i nie ochłonęła jeszcze z irytacji, w jakiej ją zostawił don Rufino, rzekła szorstko:

— Że też pan nie możesz trzech słów wymówić, żeby z nich dwa nie były zagadką; kto jest ta Katalina i co mnie do tego, że sobie pojechała do Rzymu.

— To nie żadna Katalina, pani hrabino—odpowiedział z największą słodyczą don Recaredo. — To Katylina, Ka-ty-li-na! Człowiek obłudny, rewolucjonista, amadeista, jakby się dziś powiedziało, z czasów Cyncerona, który podburzył naród.

— Na miłość Boską!—przerwała hrabina w pasy, przypominając sobie pogroźki gubernatora, które do wspólki z don Rufinem przepełniły miarę jej cierpliwości. — Dostyc już mamy amadeistów tu, żebyś

ich pan potrzebował wywoływać z czasów tego tam króla, kto go wie, jak się nazywa!

— Właśnie dlatego posłużyłem się wyrażeniem oratora rzymskiego—przerwał z żywością don Recaredo.—Bo tak samo, jak amadeista, Katyliina zagrażał Rzymowi, tak dziś amadeista gubernator (Gardengo, jakby się powiedziało w ósmym wieku) zagraża pałacowi de Santa Maria.

Adelina nie mogła się powstrzymać od dziwnego uśmiechu i ukryła go prędko za wachlarzem; Ritita trącała łokciem Candideta, a wszystko troje zawołali z wielkiem zajęciem:

— Co się stało takiego?

— Co się stało?—powtórzył don Recaredo grobowym głosem, wyjmując zworka jakiś list z kieszeni. — Wybierałem się właśnie przyjść z tym dokumentem, gdy mnie doszło wezwanie pani hrabiny.

Don Recaredo rozłożył list uroczyście, majestacyjnie uzbroidł nos w binokle i rzekł:

— Posłuchajcie państwo anonimu, jaki dziś rano otrzymałem:

„Scunor don Recaredo etc.

„Wiadomo mi z pewnego źródła, że gubernator tego miasta zamierza uwięzić hrabinę de Santa Maria, jeżeli będą nadal powtarzać się skandale antidynastyczne, jakie miały miejsce w ostatni wtorek. Ponieważ pan posiadasz zaufanie hrabiny...

Don Recaredo skłonił się tak głęboko, aż binokle spadły mu z nosa i rzekł, szczerze wzruszony:

— Czemu się najbardziej chlubię...

Nałożył znów szkła i czytał dalej:

„Ponieważ pan posiadasz zaufanie hrabiny, będziesz mógł zakomunikować jej to ostrzeżenie, aby odbiegła ją chęć knucia spisków. Mam nadzieję, że hrabina nie dopuści się więcej podobnych wykro-

czeń. W przeciwnym razie niech się ma za ostrzeżoną i niech sobie przypisze skutki jakie ztąd wynikną.

„Przyjaciel pokoju i dynastii.”

Conticuerae omnes! Wszyscy oniemieli. Don Recaredo błądł i trzęsący się, jak młody artylerzysta, który po raz pierwszy przykładła lont do armaty, popatrzył na obecnych, z których każdy zdawał się pozostawać pod wpływem jakiejś odrębnej, wyłącznie zaprzatającej go myśli.

Niepohamowana chęć do śmiechu opanowała znów Blanique; obraz ciotki Rózi, przebranej za mamełuka, nasunął się jej ponownie przed oczy; odwracała się więc, aby tem lepiej ukryć swą niewczesną wesołość i zaczęła paluszkami wydrapywać oko kupidynkowi, podtrzymującemu jedną z kolumenek kominka.

— Widzi ciocia, widzi ciocia!—przemówiła nareszcie Adelina, gestykulując wachlarzem.—To, co mówiliśmy!

Ritita powstała wyprostowana, jak Nemezys, ofiarowująca zemstę i wykrzyknęła:

— Ciociu! Trzeba koniecznie dać drugi bal i rzucić w twarz gubernatorowi zapraszającą kartę.

— Tak, tak! Zaprosić go we własnej osobie!

— I tańczyć mu przed nosem menueta!

— Pozna wtedy, z kim ma do czynienia!

— I co sobie robimy z jego pogrózek!

— Niema innej rady, cioteczko, tylko znów dać bal!

— Tak, tak! Znów bal, znów bal!

Obie siostrzenice, siostrzeniec i don Recaredo, który, wyciągnawszy obie ręce przed siebie, stał, powtarzając wiersz Danta: *Io vo gridando pace, pace,*

pace—narobili takiego krzyku, że hrabina, zatykając sobie uszy, wykrzyknęła:

— Czy będziecie raz cicho, bo ogłuchnę! Kto napisał ten list?—dodała piorunującym głosem, zwracając się do don Recareda.

— Jakiś przyjaciel pokoju i dynastji — odpowiedział piewca Lucia, pokazując podpis.

— Ale kto jest ten przyjaciel pokoju, który takie zamieszanie w mój dom wprowadza?

Don Recaredo położył palce na nosie i rzekł, wytrzeszczając oczy:

— Podejrzewam... Co mówię — podejrzewam? Przysięgłbym, że autorem tej niecnej bazgraniny jest...

— Kto?

— Sam Gardeng!? — odpowiedział don Recaredo, uważając się za żyjącego w wieku ósmym.

— Przez Boga, człowieku, czy będziesz raz w życiu mówił zrozumiale? Kto jest Gardengo?

— Gubernator, pani hrabino, gubernator—odparł don Recaredo szybko, wracając do dziewiętnastego wieku.

— Według mnie, to nie ulega wątpliwości — zawyrokował Candideto.

— Dałabym sobie za to uciąć rękę!—rzekła Ritita.

— To Włoch, cioteczko, to Włoch—powtórzyła po raz setny nieubłagana Adelina.

— Jedynie co mi nasuwa pewne wątpliwości—rzekł don Recaredo — to jest to, że list jest pisany okropną ortografią! Widzicie państwo—dodał, pokazując—pisze *źrudła*, zamiast *źródła*. Taki błąd!

Candideto i Ritita popatrzyli na siebie trochę zmieszani, jakby to oni byli odpowiedzialni za opłakaną ortografię gubernatora, wreszcie młody huzar odezwał się, zakładając z fantazyą nogę na nogę:

— Ba! Co się pan dziwisz, że gubernator może palnąć baka ortograficznego! Ja znałem urzędnika ministerjum, który pisał dowódców przez u, c, k, u, f.

— Tembardziej, że to Włoch — rzekła Adelina z wielką logiką. — Którego dnia widziałam go zbiżka na wystawie w Alkazarze... Miał na sobie jasny garnitur, i uważałam, że kamizelka była o wiele więcej zniszczona niż żakiet... Znak najwyraźniejszy, że musi w domu chodzić bez żakietu, świecąc rękawami od koszuli!

— Ależ, Adelino — rzekł z poszanowaniem don Recaredo, któremu sumienie wyrzucało niewątpliwie podobną zbrodnię. — Nie widzę, co to może mieć wspólnego z ortografią? Ortografia u narodów starożytnych...

— Jaktó, co ma wspólnego? To oznacza, że to jest parweniusz, przybłęda, Włoch!... Czy wyobrażasz sobie pan gubernatora w samej kamizelce? Co za okropność!

I Adelina, mocno zgorszona, zakryła sobie twarz wachlarzem.

Hrabina siedziała zamyślona, z łokciem na stole opartym i z policzkiem na dłoni; a wszyscy opoowani tą nieruchomą obawą, właściwą oczekiwaniu rzeczy ważnych, szanowali jej milczenie, poprzedzając krok stanowczy, od którego może zależała przyszłość Hiszpanii, a przynajmniej nie domyślającego się niczego Amadeusza... I dlaczegożby nie? Orzeł końcem skrzydła strąca grudkę śniegu ze szczytu góry, a grudka owa stacza się, rośnie, olbrzymieje, aż zamieniona w lawinę, zalewa równinę.

Bądź co bądź, milczenie hrabiny przedłużało się. Ritita i Candideto szeptali pomiędzy sobą; Adelina układała fałdy swej mantilli, zukosa zerkaając w zwier-

ciadlo; don Recaredo przecierał chustką szkła binokli.

Nagle rozległ się w pokoju śmiech dźwięczny, perlisty, zrazu tłumiony nieco, po chwili głośniejszy i swobodny, jak strumień czystej wody, który zwyciężywszy położoną mu tamę, płynie wartkim, niepowstrzymanym już niczem prądem... Blanquita kończyła wydrapywać oko Kupidynkowi, i psotny chichlik wesołości wziął nad nią górę, stawiając jej znów przed oczy obraz cioci Rózi przebranej za mameluka.

Cztery gniewne spojrzenia i jedno zdziwione spojrzenie don Recareda padły na śmiejącą się dziewczeczkę.

— Jakaż ty jesteś nieznośna, Blanko! — rzekła Ritita. — Zupełnie jak zepsuty zegar.

— Z czegoż ty się śmiejesz, idyotko! — wykrzyknęła cierpko Adelina.

— Bo ciocia mówiła, że się przebierze za mameluka! — wyjąkała Blanquita.

Hrabina, która potrzebowała tylko czegoś, ażeby wybuchnąć, wybuchnęła nareszcie:

— Głupia jesteś, smarkata jakaś! Potrzeba ci było jeszcze parę lat pozostać na pensyi!

Blanquita zaczerwieniła się po same białka; spuściła główkę zawstydzona, spojrzała po chwili na ciotkę, potem znów na dywan, i zakrywając twarz chusteczką, wybuchnęła płaczem.

— Mamy ulewę! — rzekła Ritita.

— Matko Boska Łzawa, opiekuj się nami! — zawołała Adelina.

Candideto zaczął się śmiać, a don Recaredo, któremu się także na płacz zbierało, rzekł ze współczuciem:

— Blanquito, dziecko drogie, nie psuj sobie

twoich ślicznych ocząt z przyczyny mameluków. Mamelukowie należą do starożytności i...

Tu poczciwy erudyta urwał, nie mając pod ręką Wielkiej Encyklopedyi, któraby go wyprowadziła z wątpliwości co do mameluków.

Hrabina widząc płaczącą Blanquitę, swoją faworytkę, poruszyła się niespokojnie w fotelu; porwała kwity Towarzystwa Św. Wincentego a Paulo i rzuciła je na stół, wreszcie przyciągnęła do siebie płaczącą wciąż panienkę i całując ją i pieścąc, szeptała jej do uszka:

— No, no, nie płacz już; nie płacz ty bzduro jedna... Uspokój się... Damy bal w niedzielę, a ty środo poście wybijesz... Chcesz? Zobaczysz, jaki ładny garnuszek każe urządzić, tylko już nie płacz!

Śliczna twarzyczka dziewczeczki rozpromieniła się uśmiechem podobnym do tęczy podczas wiosennego deszczu.

Przytuliła usteczka do ucha ciotki i bardzo ci chutko spytała:

— A czy będą tam w środku ptaszki?

VI.

Raz postanowiwszy wydać bal, hrabina powierzyła, jak zwykle, urządzenie zabawy don Recardowi i Riticie.

Postawiła mu jednakże trzy warunki: pierwszy, że dla spokoju jej sumienia bal skończy się o północy, to jest o godzinie, w której kończy się owo niedorzeczne interregnum, jakie bez żadnej przyczyny

ny niedziela śródo-postna wprowadza w poważny i żalobny nastrój Wielkiego Postu. Drugi, że jako dowód zupełnego lekceważenia dla pogroźek gubernatora, ma być mu posłana karta zapraszająca. Potrzebie wreszcie, że aby zadowolić Blanquitę, w tradycyjnym środopostnym garnku mają się znajdować, oprócz cukierków, dwa tuziny ptaszków szczygiełków i kanarków, i że mają być użyte wszelkie nieformalności i sztuczki, mogące ułatwić jej ulubienicy przyjemność stłuczenia owego garnka.

Ritita wysłuchiwała pierwszego warunku z chytym uśmiechem, a don Recaredo ze spuszczoną głową, jak gdyby mu sumienie coś wyrzucało. Przy drugim Ritita ściągnęła lekko brwi, a don Recaredo byłby powtórzył swoją łagodzącą cytate: *Io vo gridando pace, pace, pace* — gdyby gniewny głos hrabiny, jakim ten warunek stawiała, nie był mu przypomniał nieugiętych Spartanek, wysyłających synów swych na wojnę. Co się tycze trzeciego, Ritita przyjęła go, mówiąc, że się wcale o ten zaszczyt ubiegać z kuzynką nie myśli, a don Recaredo postanowił poszukać w Encyklopedyi genezy zwyczaju wybijania środopocia i zagrzebać się cały wśród Asyryjczyków, Medów i Persów, aby mózdz wszystko jak najdokładniej wytłómaczyć Blanquicie.

Ułożywszy to wszystko, hrabina kazała zaprządz do powozu i pojechała na czterdziesto-godzinne nabożeństwo, wstąpiła na chwilę do Św. Wincentego à Paulo posłuchać urywku kazania, odwiedziła jakąś przyjaciółkę i z powrotem kazała się zawieźć do generalnego sztabu. Głównodowodzący generał był jej dalekim krewnym, posiadał całe jej zaufanie i nie okazywał żadnych wyłącznych uczuć dla dynastyi włoskiej. Hrabina opowiedziała pod sekretem o pogroźkach gubernatora, o postanowieniu zdrwienia z nich i zapytała go, czy w razie niebezpieczeństwa może na niego liczyć. Uśmieł się serdecznie gene-

rał, wysłuchawszy tego wszystkiego, i powiedział jej, że chociaż uważa gubernatora za radykała najczystszej wody, nie przypuszcza, aby tak dalece posunął swoją głupotę.

Hrabina upierała się przy swoim, gdyż po przejściu pierwszego gniewu pogroźki gubernatorskie zaczęły jej pochlebiać, jako dowodzące wielkiego znaczenia, jakie jej domowe sprawy wywierac mogą na politykę państwa. Pokazała więc anonim generałowi. Ten, przeczytawszy go, zaczął się znów śmiać; popatrzył uważnie na pismo i porównał je ukradkiem z jakimiś leżącymi na stole urzędowymi papierami. Jednym z nich był raport dzienny pułku huzarów, ułożony i podpisany ubiegłego dnia przez dyżurnego porucznika.

Generał wzruszył ramionami, roześmiał się znów i zwracając list hrabinie, rzekł:

— Uspokój się, Rózo; wszystko to razem tylko śmiechu warte. Możesz dać bezpiecznie swój bal i upewniam cię, że choćby tańczono menueta na środku książęcego placu, żadna cię zato nieprzyjemność nie spotka.

Hrabina wymogła potem na generale obietnicę, że będzie na balu i odjechała zadowolona, nie wspomniawszy jednak nikomu ani słówkiem o tem, co zrobiła. Krok ten mógł być przypisany obawie, a to byłoby ubliżającym dla dzielnej hrabiny de Santa Maria.

Hrabina przyjmowała u siebie codziennie w kwadratowym salonie, poprzedzającym jej gabinet. W jednym końcu tego salonu zgromadzała się „Izba wyższa“, składająca się z osób, należących do najwyższej arystokracji w X., w drugim „Izba niższa“, złożona z całej gromady siostrzenic i siostrzeńców hrabiny, oraz z garstki młodzieży, która po złożeniu odpowiednich kwalifikacyi, została dopuszczona przed

oblicze zacnej matrony, gdyż aby uzyskać wstęp do pałacu Santa Maria, trzeba się było wylegitymować z ośmiu pokoleń, ni mniej, ni więcej, jak gdyby chodziło o zapisanie się do którego z zakonów wojennych: Santiaga, Alcantary, Calatravy lub Montesy.

Na tem hrabina zasadzała swoje zaufanie i swoją dumę.

Izba wyższa nazywała Izbę niższą „Klubem wesołości“ z powodu żartów, i śmiechów, jakie się tam rozlegały, a ta odwzajemniała jej się, nazywając ją „Starym Testamentem“ dla sędziwości i powagi zgromadzających się w niej pań i panów.

Don Recaredo schodził każdego wieczora ze „Starego Testamentu“ do „Klubu wesołości“, niby prorok minionych wieków, którego przysyłała hrabina, aby służył za wzór i przestrożę niedoświadczonej młodzieży. Don Recaredo był jej tajną policją.

We czwartki i niedziele, dnie, w których hrabina przyjmowała oficjalnie, oświetlano dwa drugie salony i Klub wesołości, znacznie powiększony, rozpraszał się po nich, bawiąc się i tańcząc, zawsze jednak do niezbyt późnej godziny. Stary Testament pozostawał zawsze na swoim miejscu, z niewzruszonością, charakteryzującą wszelkie sędziwe instytucje.

W dniu wielkich przyjęć, które nie były rzadkie, cały pałac stał otworem dla gości; w sali jadalnej zastawiano sute i obfite bufety, a przedewszystkiem oświetlano i otwierano wielką Galeryę Portretów, jako zawierającą podobizny wszystkich hrabiów i hrabini de Santa Maria.

Alfą tych znakomitych wizerunków był brodaty wojownik, towarzysz przyboczny króla Ferdynanda św. przy wzięciu Sewilli, a omegą był niedoszły Lucio, we własnej osobie, a raczej w osobie, jaką go wspaniałomyślność malarza obdarzyła. Artysta

dał mu postać aniołka i białe skrzydełka unoszące go ku niebu, podczas gdy rączki wypuszczały hrabiowską koronę de Santa Maria, jako znak, że spełniły swe zadanie na ziemi, kładąc kres znakomitemu rodowi.

W głębi tej wspaniałej galeryi, prawdziwego przybytku sztuki, znajdowały się przepysznie rzeźbione drzwi, przez które wchodziło się do komnaty Karola V, tak zwanej na pamiątkę nocy, jaką przespał w niej niezwyciężony monarcha w 1524 roku. Od tej pamiętnej daty przechowywano ją nietkniętą, jako jeden z pomników historycznych, jakimi najbardziej szczylił się świetny dom de Santa Maria. Sufit tej komnaty był z kosztownych gatunków drzew inkrustowany i rzeźbiony, a podtrzymywały go cenne kolumny w najczystszyemu stylu maurytańskiemu. Ściany obite były aksamitem pasowym, usianym w wielkie herbowe tarcze, bogato złożone; z tegoż samego materiału były firanki i kapy olbrzymiego łoża, zajmującego jedną ze ścian w głębi. Po za kosztownym dywanem okrywającym tę ścianę, znajdował się pomiędzy nim a murem wązki pasaż, kończący się z obu stron małemi drzwiczkami; jedne z nich wychodziły na galeryę, drugie prowadziły do części domu zajmowanego przez służbę.

Podajemy te szczegóły, gdyż one potrzebne będą do zupełnego zrozumienia wypadków, jakie jeszcze w tej prawdziwej historii opowiedzieć mamy.

Gdy don Recaredo ukazał się tego wieczora w Klubie Wesołości, przyjęły go wyjątkowo czarowne uśmiechy i miodowe słówka. Buntowniczy klub knuł bowiem znów na niedzielę środopostną spisek zegarowy, więc pomoc don Recareda była mu nieodbitcie potrzebna. Ririta posadziła go koło siebie, Adelina poprosiła go o wiersze do albumu, Blanquita podała mu karmelek swemi różowemi paluszkami, a inna jeszcze panienka, o figlarnym zadartym no-

sku, powiedziała mu, że robi dla niego ciepłą czapkę, ponieważ następna zima zapowiada się bardzo ostro. I wistocie robiła na dwóch drewnianych drutach jakąś osobliwszą rzecz z zielonej i pasowej włóczki.

— Co za temat wspaniały dla liry Anakreonta! — wykrzyknął don Recaredo zachwycony. — Czapka zrobiona rączkami Paquity, najpiękniejszej i najweselszej z nimf Betisu!

— Bardzo pięknie! — rzekła Paquita. — Ja zrobię czapkę, a pan ją będziesz opiewał na lirze Anakreonta. Czy ten pan jest kolegą pańskim z banku?

— Na jedenaście tysięcy dziewczyc, Paquito! Anakreont urzędnikiem w banku! Tak to sobie żartujesz z wielkiego greckiego poety?

— Ja? Niech Bóg uchowa! Przepadam za wierszami i poetami! Czy uwierzysz pan, że zawsze płacę, gdy czytam te:

„Życie, czyny i przygody
Karzełka don Peligrody“.

— Czy to nie są wiersze Anakreonta?

— Paquito, przez Boga! — wykrzyknął don Recaredo. — Kapłanko boga Momusa! szanuj pamięć wielkiego poety! Wprawdzie umarł śmiercią szczególną... Udławił się rodzyńkiem...

— O łakomiec!

— Dlaczego mu nie dano pięścią w kark?

— Owszem... Pomimo to, umarł w Samos, w osiemdziesiątym piątym roku życia.

— Wszystko to bardzo pięknie. Ale nie widzę, dlaczego by nie miał napisać wierszy o don Peligrodzie?

— Paquito, Paquito! Co ty wygadujesz? Widzę, że konieczną jest rzeczą, abyś nie popełniała nadal podobnie opłakanych błędów, muszę więc dać ci do przeczytania ody Anakreonta w tłómaczeniu.

— Teraz nie mogę... Czytam Bertolda i lubię być systematyczną w czytaniu.

— Mnie je daj, don Recaredo, nauczę się ich na pamięć — rzekła, mizdrząc się, Ritita. — Ale, *à propos* wierszy, miałeś mi pan przepisać ten sonet, który skomponowałeś do „Zapalacza gazu“. Prześliczny!... Pójdź pan ze mną do gabinetu... musisz to zaraz zrobić, bo umieram z niecierpliwości, żeby się go na pamięć nauczyć.

Don Recaredo i Ritita weszli do gabinetu, i poczciwy staruszek zaczął przepisywać swój sonet przy biurku hrabiny. Risita czytała go przez ramię, powtarzając za każdym wierszem: „Prześliczny!“ „Zachwycający!“

Przeczytała go potem w Klubie Wesolości z przesadną deklamacją, a gdy jej się wydało, że grunt jest już dostatecznie przygotowany, zaczęła go prosić, przyzywając na pomoc wszystkie swe minki i pochlebstwa, aby w niedzielę środopostną pozwolił powtórzyć zegarowy spiszek z ostatniego wtorku.

Ale don Recaredo, założywszy pióro za ucho, okazał się niewzruszonym Katonem. Ustąpił raz przez słabość i nie chciał zgrzeszyć powtórnie przez złą wolę.

Ritita nalegała, prosiła, groziła, ale don Recaredo, nieugięty w swem zacnem postanowieniu, powtarzał ciągle:

— To niepodobna, Ritito, niepodobna!

— A! — zawołała Ritita rozgniewana. — Nie przypuszczałam nigdy, żebyś pan mógł być tak niegrzecznym!

— Obowiązek musi iść przed grzecznością, piękna Ritito!

— I tak ograniczonym!

— Pierwsza ty mi to mówisz! — odparł obrażony don Recaredo.

— Ale wszyscy tak myślą! — rzekła Ritita.

I odwróciwszy się majestatycznie plecami, wyszła, zostawiając go z piórem za uchem i sonetem do „Zapalacza gazu“ w rękę.

U drzwi gabinetu oczekiwał na nią Candidito.

— I cóż powiedział? — zapytał niecierpliwie.

— Że nie! że nigdy na to nie pozwoli.

Młody oficer tupnął silnie nogą i wykrzyknął nakazująco:

— Ależ, kiedy to jest konieczne, Ritito.

Ona spuściła oczy, zarumieniała się i dziwnym głosem powtórzyła bardzo cicho:

— Konieczne!

VII.

W środku wielkiej Galeryi Portretów umieszczono wspaniały garnek środopostny, podobny z wyglądu do salonowego pajaka! Tworzyło go dwanaście rogów obfitości, suto złożonych, połączonych z sobą końcami w części niższej, a rozdzielających się w wyższej w kształcie kielichów ślicznie udekorowanych kwiatami.

Od środka tego oryginalnego zyrandola aż do ziemi wisiał pęk różnokolorowych wstążek, z których tylko jedna była Sezamem, otwierającym garnek. Wszystkie inne były tak lekko przytwierdzone, że za pociągnięciem zostawały w rękę.

Damy miały przechodzić koleją, pociągając każdą za wstążkę, aż do natrafienia na uprzywilejowaną; za jej pociągnięciem garnek się otwierał, zmieniając kształt, rogi obfitości wykręcały się kielichami na dół i na obecnych wysypywał się deszcz ptasząt i cukierków.

Postanowiono, że tajemnicza wstążka będzie błękitną i że don Recaredo, posłuszny wskazówkom hrabiny, miał ją naznaczyć zrećznie, tak, aby Blanquita mogła ją poznać.

Dwanaście pań i dwunastu panów w strojach z czasów Carlosa IV-go miało tańczyć w wielkim, żółtym salonie owego menueta, który był celem balu.

Adelina Peralta, żadna zawsze zwracać na siebie uwagę, ofiarowała się, dla wzmocnienia politycznego kolorytu, odśpiewać, przebrana za pasterkę, przy akompaniamencie gitary, dwie piosenki narodowe z owych czasów: „Kaczuczę“ i „Kaftanik aksamitny“. Ta część programu miała już być wykonaną w ostatni wtorek, ale żarliwa ta Hiszpanka skorzystała ze sposobności, aby sobie zamówić strój andaluzyjskiej pasterki w Paryżu; że zaś obstalunek na czas nie zdążył, więc Adelina musiała odłożyć do następnej okazji możliwość okazania swych uczuć patriotycznych i gustu swojej modniarki.

Szczególny wypadek zaszedł w ostatniej chwili i dał pole do licznych komentarzy i domysłów.

Candidito i Ritita odmówili stanowczo wzięcia udziału w menuecie, ustępując swe miejsca Adelinie i Federikowi Bombones. Pytani o powód tej naglej zmiany, która wyglądała bardzo na obmyślaną z góry, dawali wymijające odpowiedzi, tłómacząc się bla-hemi przeszkodami; natomiast nalegali usilnie, aby bal środopostny zjednoczył oba źródła zabawy, które na dwóch poprzednich oddzielnie tylko występowały,

mianowicie różowe kapturki Watteau i czarne domina.

Z tego ogólnego zamaskowania się pań i panów wynikać miały różne najzabawniejsze *qui pro quo* i najucieszniesze figle. Hrabina z początku i dlatego właśnie sprzeciwiała się temu, pomna, nie zdając sobie z tego sprawy, na szorstkie przestrogi don Rutina, ale Ritita i Candideto nalegali tak usilnie, że ustąpiła w końcu, nie podejrzewając w swej dobroduszości, ażeby ta godna siebie para mogła mieć jakiś własny ukryty cel.

Przeniesiono zatem do buduaru pań stos kapturków Watteau, a w komnacie Karola V-go, gdzie zwykle gromadzili się panowie, jako w najbardziej ustronnym pokoju, złożono czarne domina

W dzień balu hrabina, niezależnie od tego, pojechała, jak zawsze, na kazanie, a don Recaredo, obeszedszy po raz ostatni salony, bufet, obejrawszy garnek i powtórzywszy swe rozkazy major-domusowi Babtyście, udał się nad wieczorem do swego mieszkania, by się przebrać.

O wczesnej stosunkowo porze salony zajaśniały światłem, którego potoki, rozlewając się po wspaniałych schodach i olbrzymim przedsionku, dosięgały aż ulicy, krzesząc socjalistyczne iskry w tłumie, zgromadzonym przed bramą i gapiącym się na wjeżdżające zbytckowne powozy i siedzące w nich damy, otulone w kosztowne futra.

W salonie, przylegającym do galeryi wchodowej, najbardziej rewolucyjny żywioł Klubu Wesolości skupił się około okna, szepcząc coś z wielkiem ożywieniem; niewątpliwem było, że coś się tam knuło, i że to coś miało na widoku spisek zegarowy, stłumiony w zarzewiu przez żelazną rękę niewzruszonego don Recareda.

W grupie tej znajdowała się Ritita i Candideto, figlarna Paquita, Ramiro Perez i kilka innych panie-

nek i młodzieńców; a główną wśród nich uwagę zwracała Adelina Peralta, w stroju pasterki, którego najwybitniejszą cechą był pistolecik, w oprawie ze słoniowej kości, junacko za pas zatknięty. Wprawdzie znakomity artysta Goya w swych nieśmiertelnych portretach pasterek andaluzyjskich opuszczał zawsze ten szczegół, ale to go tłómaczy, że nie zasięgał w tym względzie światłych wskazówek modniarek paryzkich.

Bezustannie tymczasem napływali nowi goście i szli witać hrabinę w jej kąciku Starego Testamentu; tam bowiem siedziała ta zacna matrona, w swym zwykłym postnym stroju, uczesana gładko; trochę tylko staroświeckich niezmiernej wartości klejnotów świeciło na jej szyi, i rękach. Hrabina, zastawiając się swemi wielkimi nieszczęściami i tuszą, oddawna przyjęła ten wygodny ceremonial witania swoich gości i nigdy od niego nie odstępowała. Kto ją chciał widzieć, musiał jej tam szukać; po za tem wszystko spoczywało na głowie don Recareda. Zjawił się on wreszcie, wystrojony z najsurowszą elegancją, błyszczący łysiną, jak gdyby ją był na tę uroczystość wysmarował białkiem, kończąc naciągając rękawiczki niepokalanej białości.

Na jego widok Klub Wesolości rozproszył się, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Ritita i Adelina, ujawszy się pod ręce, obesztły salon w ten sposób, aby z nim spotkania uniknąć, i udały się ci chaczem do miejsca, gdzie don Recaredo zwykł był składać swą perukę.

Ritita miała w ręku broń podwójnie straszna, bo specjalnie niewieścia: dużą igłę, nawleczoną czarnym jedwabiem. W mgnieniu oka peruka znalazła się w jej rękach i Ritita kilku zręcznymi ściegami zmniejszyła jej objętość, poczem złożyła ją w milczeniu na poprzednim miejscu.

Salony były już przepelnione gośćmi, i orkie-

stra zaczynała przegrywkę do tańców. Don Recaredo baczną na wszystko, rozsiewał wszędzie kwiaty swe galanteryi i owoce swej erudycyi.

Jakiś młodzieniec podał mu poufale rękę w przejściu, i zatrzymując się nagle, jak gdyby zdziwiony, zapytał:

— Co to panu stało się w głowę, Don Recaredo?

— Mnie? Nic.

— Wydało mi się, że pan ma głowę trochę spuchniętą...

— Gdzie? — wykrzyknął przestraszony.

— Z tyłu, bliżej karku.

I nie zatrzymując się dłużej, młodzieniec ów znikł w tłumie.

Don Recaredo został, jak wryty, na środku salonu, macając sobie głowę z oznakami wielkiego zafrasowania; po chwili zdjął rękawiczkę i obnażoną ręką wodził po całej łysinie, a chociaż nigdzie najmniejszej wypukłości domacać się nie mógł, przed jego zatrzwożoną wyobraźnią zaczęły zjawiać się zdradliwe Zefiry, zgubne Eole i dać mu za uszami.

Gdy tak stał jeszcze, otoczyła go gromadka członków Klubu Wesołości, winszując mu gustu, jakiego dał dowód w przyozdobieniu garnka.

Don Recaredo odpowiadał z roztargnieniem i nawet zapominając o swem głębokiem poszanowaniu towarzyskich przepisów, pomacał sobie ukradkiem głowę. Ale wszystka krew spłynęła mu do serca, gdy nagle Ramiro Perez wykrzyknął:

— Don Recaredo, czy pan się uderzył w głowę?

— Nie, nie! — odpowiedział zaniepokojony. —

Ale czuję jakieś dziwny ból w głowie. Ot, tu!

— Spodziewam się! Masz pan takiego dużego guza!...

— Gdzie?

— Z tyłu... Bliżej karku!

— To prawda! — wykrzyknęli wszyscy chórem. — Czy pana byk ubódi?

— Nie, nie! Alboż ja wiem... To zapewne z przeciągów... Dziś rano było mi nie dobrze, a teraz nagle czuję, że mnie głowa boli. Musiało mnie zawiąć!

Kapłanka Momusa, Paquita, utorowała sobie drogę przez otaczające Don Recaredo grono i stając przed nim w swym średniowiecznym stroju, z upudrowaną głową, rzekła:

— Prześliczny garnek, Don Recaredo! Wspaniały! Nic mu nie brak, tylko...

Tu urwała nagle i z komicznym ruchem przerażenia, wskazując na głowę biednego poety erudyty, wykrzyknęła:

— Cóż się to znaczy, Don Recaredo? Głowa panu rośnie. Boże! co za guz? Czy panu jaki poemat epiczny ma wyskoczyć?

— Don Recaredo! — rzekła ze współczuciem zdradziecka Adelina. — Lepiej będzie, aby pan nakrył głowę... To z pewnością zawianie. Dlaczego pan nie włożysz peruki?

— Ma słuszność — rzekł Ramiro. — Pójdź pan ze mną.

I ująwszy go pod ramię, udał się z nim na poszukiwanie peruki.

Ale tu przestрах Don Recareda dosięgnął szczętu. Peruka nie chciała mu wejść na głowę, a ponieważ peruka nie mogła się zwięzić, jasnym było, że głowa się poszerzyła. Biednak osunął się na krzesło, mówiąc bolejącym głosem:

— Bardzo mi nie dobrze, Ramiro!

— Uspokój się pan, na Boga! To przejdzie... Lekkie zawianie... Boli pana!

— Ogromnie!

— Wiesz pan co? Jedź do domu i połóż się. Chcesz pan, abym cię odwiózł?

— Ależ, jakże ja to wszystko zostawię, Ramiro? Co powie hrabina?

— Co ma powiedzieć, skoro pan jesteś chory. Już ja pana przed nią wytłómaczę. Patrz pan, na dole stoi jeszcze karetka mojej ciotki, Pepy, która dopiero co przyjechała. Ona pana odwiezie... Nie można tracić czasu.

Don Recaredo zgodził się w milczeniu; w tej chwili byłby się zgodził na wszystko... Robiło mu się gorąco i zimno naprzemiennie, i doznawał takiego wrażenia, jak gdyby uzbrojona od stóp do głowy Minerva miała mu z głowy wyskoczyć za uderzeniem młota jakiegoś litościwego Wulkan. Powstał z trudnością i powłócząc nogami, zszedł na dół, oparty na ramieniu Ramira. Ten wsadził go do karety ciotki Pepy i powrócił w kilku susach zdać sprawę spiskowcom ze swego tryumfu.

Klub Wesołości odetchnął; zegary pałacu de Santa Maria cofnęły się o dwie godziny i owe dziwne: „to konieczne” Candideta i Ritity zostało spełnione. Spojrzeli oni po sobie znacząco, usłyszawszy, że zawada w osobie Don Recareda już nie istnieje, i zniknęli każde z innej strony.

Bal dosięgał szczytu ożywienia; panowie i panie szli przebierać się w domina czarne i kapturki à la Watteau. Nikt już nie poznawał nikogo i towarzystwo przybrało ten wygląd jednostajny, dający pole, według Ritity i Candideta, do tak uciesznych figlów i omyłek.

Adelina Peralta śpiewała „Kaczuczę” i wszyscy zgromadzili się dokoła niej, żądni uśmiech się kosztem andaluzyjskiej pasterki z pistoletem.

Kapłanka Momusa, Paquita, mówiła, wachlując się z wdziękiem:

— Mały ma głos, ale jakże nieprzyjemny!

Galerya portretów opustoszała; wtedy ukazał się w niej kapturek Watteau, rozglądający się niepokojnie. Jednocześnie z komnaty Karola V-ego wyszło czarne domino i zbliżając się do zamaskowanej damy, podało jej ramię.

— Czego drżysz?—szepnęło bardzo cicho.

Wyszli oboje cicho z galeryi, zamieszaali się na chwilę pomiędzy inne pary, następnie wymknęli się zρέcznie z salonów, zeszli na dół, minęli przedsiónek i wyszli na ulicę...

Szwajcar w galowej liberyi skłonił im się z uszanowaniem, a gdy go minęli, popatrzył za nimi zdziwiony i wzruszając romionami, mruknął:

— A ci gdzie idą?

Noc była ciemna i mglista. W gęstej tej atmosferze błyszczwały, jakby zagniewane źrenice jakichś potworów, latarnie kilku powozów, które, nie licząc się z opieszalemi zegarami pałacu de Santa Maria, zaczynały już zajeżdżać pod bramę. Z jednego z nich wyskoczył maleńki charcik angielski w aksamitnej okrywce i srebrnej obróźce. Psina ta pobiegła ku zamaskowanej parze i machając ogonkiem, zaczęła skakać dokoła niej, ciesząc się i łasząc.

Maseczka wydała stłumiony okrzyk pod kapturem, zobaczywszy pieska; a towarzysz jej kopnął go tak silnie, że skowycząc, odleciał o kilka kroków, jak piłka.

Biedne zwierzątko, utykając, schroniło się znów do powozu, a tajemnicza para zniknęła w cieniach nocy.

VIII.

Gdy zniknięcie Don Recareda doszło do wiadomości Blanquity, zmartwienie jej nie miało granic.

Tchórzem podszyty poeta uniósł z sobą tajemnicę garnka i zostawił ją na łaskę losu w tej tak ważnej sprawie. Biedna Blanquita zaczęła szukać na wszystkie strony major-domusa, Babtysty, który również musiał być posiadaczem sekretu, a nie mogąc go znaleźć, pobiegła rozżalona do hrabiny.

Ta widząc ją nadbiegającą w tym stanie, zawołała zdumiona:

— Co tobie się stało, dziecko?

— Nie będę mogła otworzyć garnka! — odpowiedziała Blanquita, blizka płaczu.

— Dlaczego?

— Bo Don Recaredo odjechał, nie powiedziawszy mi, która wstążka go otwiera.

— Don Recaredo odjechał! — powtórzyła hrabina z osłupieniem. — Gdzie? Dokąd?

— Do siebie... Zrobiło mu się niedobrze i odwieźli go powozem.

— Co ty mówisz? Odjechał, nie powiedziawszy mi ani słowa? To być nie może? Czy widziałś go?

— Ja nie, ale Adela go widziała. Powiada, że mu na głowie wyskoczył guz wielki. Ot, tak!

I złożyła, mówiąc to, obie rączki, zakreślając krąg wielkości porządnego melona.

— Cóż to za okropność! — wykrzyknęli razem wszyscy patryarchowie i prorocy Starego Testamentu.

— Adela powiada, że mu ten guz tak nagle wyskoczył...

— Dziwna rzecz! — zauważył jakiś Abraham, mający całe piersi pokryte orderami.

— A Ramiro Perez powiada — ciągnęła dalej Blanquita, powtarzając wszystko to w dobrej wierze — że mu zemdlął trzy razy w drodze. Mówił, że umiera i chce się spowiadać.

— Boże, Boże! Cóż to za nieszczęście! — zawołała hrabina, szczerze wzruszona. — Ale dlaczego nie dali mi znać? Gdzie jest Adela? Gdzie poszedł Ramiro? A Ritita?

— Zkądże można wiedzieć? Wszyscy są zamaskowani!

— Ach, Boże, że też ten Ramiro nic mi nie powiedział. Matko Boska, cóż to za roztrzępaniec! A ten biedak może tam umiera, kiedy ci tu tańczą, jakby nigdy nic... Potrzeba koniecznie, żeby ktoś do niego pojechał. Biedaczysko, przecie mieszka zupełnie sam...

— Jeżeli hrabina sobie życzy, to pojedę — rzekł udekorowany Abraham z tajemną nadzieją, że jakiś anioł uwolni go od spełnienia tej ofiary.

— Ach, z całej duszy będę panu wdzięczna, Don Augustynie! — odpowiedziała hrabina z żywością. — W tej chwili założą do powozu. Czy jest tam kto ze służby, Blanko?

— Kto ma być, kiedy wszyscy są w sali jadalnej, bo już zaraz mają otworzyć bufet.

— Boże jedyny! Nieszczęście mnie prześladuje we wszystkim. Poszukaj Martiny, Blanko; będzie może w moich pokojach. Albo już ja lepiej pójdę do sali jadalnej i każę zaprzęgać. Boże miłosierny! Co to za dzień! Cóż to za służba! Tylko mnie się takie rzeczy trafiają!

I zacna matrona wstała z całą żywością, na jaką jej tylko pozwalała nadmierna tusza.

W tej samej chwili orkiestra rozpoczęła przegrywkę do menueta, i liczne grupy kapturków Watteau i czarnych domin gromadziły się w wielkim, złotym salonie, ażeby przypatrywać się piruetom tan-

cerzów w pudrowanych perukach i dygom tancerek w rogówkach średniowiecznych.

Pośpieszne ruchy hrabiny tamowały co chwila zbite gromadki gości i aby ich uniknąć, weszła w pustą galeryę portretów i skierowała się ku pasażowi komnaty Karola V-go, aby tem prędzej znaleźć się przeciwnem wejściem w pokojach służby.

Drzwiczki, wiodące z galeryi do pasażu, były zawsze zamknięte z polecenia hrabiny, aby otwór w ścianie nie psuł jej artystycznego wyglądu. Została je teraz uchylone dla rozjaśnienia trochę światłem z galeryi ciemności tego tunelu i zbliżyła się ku przeciwnym drzwiom. Na nieszczęście, drzwiczki te były zamknięte na klucz z zewnątrz. Rozgniewana hrabina zawróciła z powrotem, ale w tej samej chwili ktoś ze służby, przechodząc przez galeryę, zamknął drugie drzwiczki, myśląc, że je przez nieuwagę otworzono. Hrabina znalazła się w pasażyku, jak w pułapce.

Nim jednak mogła zorientować się w położeniu, z komnaty Karola V-go doleciał ją wybuch męskiego śmiechu i towarzyszący mu ordynarny bezwstydnym wykrzyknik. Hrabina stanęła, jak wryta. Wstyd niewieści i obrażona godność pani domu przykuły ją do miejsca. Pomyślała w pierwszej chwili, że to jaki lokaj, upiwszy się, wszedł tam, i zbliżyła się do starej makaty, ażeby przez jej szparę poznać go i natychmiast wypędzić.

Wówczas ujrzała na owem historycznym łożu, którego od owej nocy, kiedy je Karol V-ty zajmował, niczyje ciało nie skaziło, leżące na wznak Ramira Perez, z nogą założoną na nogę, palącego spokojnie cygaro. Obok niego jakiś młodzieniec, którego twarzy rozpoznać nie mogła, przywdziewał na swój frak nieskazitelnego kroju czarne domino.

Hrabina zawrzała gniewem i przez chwilę chciała uczynić z Ramirem to, co myślała zrobić z loka-

jem, to jest wypędzić go z domu, ale rozmowa dwóch młodzieńców skierowała wnet jej uwagę w inną stronę.

Ramiro, wśród żartów bezwstydnym i ordynarnym konceptów, które dotychczas wydawały się hrabinie możliwymi jedynie wśród pospółstwa, opowiadał niemądry figiel, jaki wypłatał Don Recaderowi i posuwając się dalej na drodze zwierzeń, wyjawiał przyjacielowi spisek, uknuty pomiędzy Ritita, Adelina i Candidetem, ażeby zmusić hrabinę do dania tego balu, pomimo jej idiotycznych skrupułów z przychylnym postu.

Wyprowadzono w pole naiwną niewiastę mniemaniami pogroźkami gubernatora, wiedząc, że to wystarczy, aby ją skłonić przy jej charakterze wyniosłym i fantastycznym do dania balu. Ramiro był owym fałszywym świadkiem, który jakoby miał słyszeć odgrażanie się gubernatora w klubie.

Ritita i Adelina wzięły na siebie zakomunikowanie tego hrabinie, a Candideto zadzierzgnął ostatecznie węzeł intrygi, pisząc bezimienny list do Recareda. W ostatniej chwili o mało się rzecz cała nie wydała, bo arogancka hrabina uparła się posłać kartę zapraszającą gubernatorowi, i Ritita musiała wprawić w ruch wszystkie sprężyny swych wybiegów, aby dostać ją w ręce i podrzeć na kawalki.

Towarzysz Ramira, słuchając tego opowiadania, brał się za boki od śmiechu, i przerywał je chwilami, rzucając sprostowania i koncepty godne szynkowni. Jedną szczególnie rzecz uderzyła hrabinę, budząc zarówno jej gniew, jak ciekawość. Oto w ciągu całej rozmowy obaj młodzieńcy nazywali ją nieodmiennie dziwnym przewiskiem Kwoki.

— Ale co wam, u licha, tak bardzo zależało na tem, aby Kwoka wydała ten bal?—zapytał przyjaciel Ramira.

— Zaraz ci powiem, mój chłopcze!—odpowie dział Ramiro.—Zwyczajnie, słabostki ludzkie. Adelina, która gotowaby sprzedać własnego ojca, żeby sobie sprawić nową suknię, potrzebowała go dla popisania się z tem cudackiem przebraniem pasterki, zamówionem w Paryżu, które przyszło za późno na karnawał. Ritita i Candideto pracują do współki i, jeżeli się nie mylę grubo, plany ich sięgają dalej... Ritita, to dojna krowa, a szelma Candideto umie ją doić. Oni to oboje gardłowali głównie za maskami, bo, jak wiesz, kochanku, w mętnej wodzie najłatwiej łowić ryby. Co się mnie tyczy—ciągnął dalej Ramiro, przewracając się z pewną nerwowością po łożu Karola V-go—potrzebowałem koniecznie jakiej celnej strzały, żeby ugodzić moją gołąbkę.

I tu Ramiro zaczął się zwierzać przyjacielowi z namiętności, jaką w nim budziła Blanquita, z taką cyniczną otwartością i tak bezecnymi aluzjami, że nieszczęśliwa hrabina odgadła znaczenie jego obmierzłych wyrażań, nie rozumiejąc ich zupełnie, jak się zgaduje pod poruszoną ziemią mogiły zgniliznę i robactwo.

Gniew, zdumienie, żal, wstyd, przestrasz, opanowały hrabinę do tego stopnia, że w niemożliwości ucieczki bez wywołania skandalu, oparła się o brudną ścianę pasażu, prawie zemdlona. A zdaleka dolatywały dźwięki menueta, poważne, spokojne, jak śpiew kościelny.

— Tu jest strona lewa... a tam prawa — pomyślała hrabina, przypominając sobie, usłyszawszy muzykę, słowa Don Rufina.

Muzyka umilkła wreszcie, i wtedy dała się słyszeć wesoła wrzawa głosów i śmiechów, zbliżających się powoli. Menuet był skończony, nadchodziła chwila wybicia śródpościa. Cała gromada młodych ludzi weszła do komnaty Karola V-go; jedni zdejmowali domina, drudzy je k'adli.

Wówczas hrabina mogła poznać, czem była ta komedia, widziana z za kulis, jakby sam Amadeusz stał się jej reżyserem na benefis nieszczęsnej matrony. Słyszała siebie nazwaną kwoką ze sto razy; słyszała nazwiska, honor, cześć tych biednych kobiet, które się o kilka kroków zład znajdowały, wmieszane w skandaliczne opowiadania, w uwłaczające podejrzenia; słyszała niecne żarty, bezwstydlne koncepty, plugawe żądze, skandale ohydne, prawdy potworne.

Hrabina zatkała sobie uszy. Zdawało jej się, że znajduje się na dnie nieczystej kałuży, w którą ta młodzież ciskała brudy swych namiętności, jakie w niej bal podzegał.

— Za kulisami, za kulisami! — jęczała hrabina drąc chustkę w dygoczących rękach.

Wrzawa rosła w galerji; komnata Karola V-go opustoszała. Hrabina odważyła się nakoniec spojrzeć przez szparę w makacie, a nie widząc nikogo, przepelznięła pod nią, jak mogła z wielkim trudem. Potem poprawiła na sobie ubranie, strzepnęła kurz i pajęczyny z sukni i wyszła na galerję. Radosny okrzyk spotkał ją u wejścia. Garnek Śródpościa był wybity: czarodziejski garnek otwarł się i deszcz cukierków posypał się na obecnych, podczas gdy chmura wystraszonych ptasząt wzbijała się w powietrze, zawadzając o girlandy kwiatów, szukając napróżno wyjścia i wpadając w wyciągające się ku nim setki rąk.

Blanquita, stojąc pod garnkiem, wyciągała także swoje drobne rączki ku pierzastej rzeszy.

Ramiro Perez zbliżył się do niej, niosąc jej szczygielka i kanarka.

Hrabina spojrzała na niego z osłupieniem. Wprost niepodobieństwem wydało jej się, żeby ten wykwiintny młodzieniec, przemawiający z taką szacunku pełną galanterją do niewinnej dziewczeczki, mógł

być tym samym, którego przed chwilą słyszała wyrażającego się, jak ulicznik.

Ucieszona Blanquita ucałowała wystraszone ptaszęta. Ramiro podał jej ramię, a ona już się na niem miała wesprzeć, gdy wtem hrabina rzuciła się pomiędzy nich, jak lwica, broniąca swego lwiątko, i porwawszy za rękę Blanquitę, oderwała ją od eleganckiego młodzieńca.

W tej chwili nie wydawały się jej tak niedorzeczniemi widzenia pustelników, którzy widywali dyabłów, ukrytych w balowych sukniach kobiet.

IX.

Jedna tylko osoba dowiedziała się, co się hrabinie przytrafiło na balu, a, jak się łatwo domyśleć, był nią Don Rufino. Musimy zaręczyć, iż udzielił on jej mądrych i umiarkowanych rad, ale hrabina, nie lubiąca robić rzeczy przez pół i wpadająca zawsze z jednej ostateczności w drugą, rozwiązała nagle Klub Wesołości, i ogłosiwszy swój dom za pozostający w ciągłym stanie obłączenia, nie zgromadzała w nim odtąd nigdy liczniejszego nad cztery osoby towarzystwa.

Za pierwszym razem, gdy zobaczyła Don Recaredo, zadała mu raptem następujące pytanie:

— Don Recaredo, kto to jest Kwoka?

— Kwoka?—powtórzył nasz poeta nieco zdetonowany.—Kwoka? Hm!... To musi być zapewne samica koguta?

— Oczywiście!—odparła hrabina—niewątpliwie! Zupełnie tak samo, jak króliczka powinna być samica królika.

Don Recaredo przygryzł sobie usta upokorzony. Minęło kilka miesięcy.

Pewnego dnia hrabina, przerzucając miejscowy dziennik, dostrzegła na jego szpaltach ów dziwaczny wyraz: Kwoka. Odczytała uważnie odnoszący się do niego artykuł. Donoszono w nim, że na skutek strasznych skandalów, jakie zaszły w pewnym domu rozpusty, zaprowadzono do więzienia starą kobietę, która go utrzymywała, a którą w całym X znano pod nazwą Kwoki.

Dziennik wypadł z rąk hrabiny. Zakryła twarz dłońmi i łyzy gniewu i wstydu napełniły jej oczy.

— Dobrze mi tak!—szepnęła.—Miał szlachność Don Rufino.—Do tego służył mój dom.

K O N I E C.



98189/2